





INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-63

O MARYI WODZIŃSKIEJ.

Inie Orpiszewskiej ku uczczeniu pa-
mięci jej Babki te kartki poświęcam.

Opowieść to, w której pragnę najwierniej odmalować wizerunek kobiety, jakiej imię, opromienione miłością dwóch najprzedziwniejszych twórców polskiej poezyi i harmonii, w najdalsze wieki wspomnianem będzie.

Znałem ją zbyt dobrze i za bliskie łączyły mnie z nią związki krwi, abym nie miał pozbawić jej postaci tych szat cudowności, jakimi legenda przyoblekać zwykła „nieśmiertelnych wybranki“; lecz dla tej samej przyczyny, mniemam, iż łatwiej może, niż komu innemu, uda mi się w należytem świetle uwypuklić cechy rasowe, właściwości duchowe i moralne, dary i zalety, jednym słowem, ten odwieczny, a tak zawsze odmienny urok kobiecości danego, poszczególnego typu, najpewniejszym i najskuteczniejszym wpływem oddziaływać zdolnej na wyobraźnię lub serce dwóch między sobą tak pokrewnych geniuszów, jakimi niezaprzeczenie byli Juliusz Słowacki i Fryderyk Chopin.

Ze wszystkich namiętności ludzkich, miłość pozostanie zawsze pierwszą i ostateczną sprężyną myśli, dążeń, dzieł i czynów naszych. Jak dwie wrogie potęgi dwóch sobie przeciwnych bogów, zawiera ona w sobie pierwiastki złego i dobrego; jest Ormuzdem i Arimanem, twórcą i niszcycielem, zbawieniem i zatraceniem. Kruszy wszelkie więzy lub skuwa je nierozzerwalnem już ogniwnem. W jej ogniu gaśnie nawet sława; lecz gdy się zleją ich płomienie, bije od nich luna

nieśmiertelnych zórz, w których blasku przez wieki, jak w boskich korowodach, przesuwac się będą świetlane postacie kochanek.

Jam Cytherea Venus choros ducit, imminente luna!

Trudne podjąłem zadanie. Niby koronką powinna się wiązać misterna nić opowiadania mego. Niby w lustrzanej tafli w ciszy wieczornej uspiomych wód, powinny się tu odbijać smętne a jasne wspomnienia minionych lat. Jak w samym zaraniu wiosny zerwanych kwiatach, powinny się w nich przechować młodości czar i woń. A piszę już w odległości trzech ćwierci wieku; piszę, gdy do snu wiecznego dawno pokładli się w mogiłach uczestnicy i świadkowie tej, jak uśmiech przelotny, krótkiej sielanki; piszę w rozterce z samym sobą, bo czy z jednej strony obowiązująca bezstronność nie odezwie się we mnie zbytnią surowością, czy z drugiej, przeciwnie, łączność krwi, wspólność odziedziczonych umiowań i wierzeń nie ujarzmią sumienia mego, narzucając mu bezwiednie nawet ową tak niesmaczną, by nie powiedzieć wstrętną, chępliwość rodzinną?

I.

Marya urodziła się w Warszawie dnia 7 stycznia 1819 r., w domu przy ulicy Miodowej pod Nr. 495, z ojca Wincentego chorążycy brzeskiego - kujawskiego i Teresy z Wodzińskich, podczaszanki kruszwickiej, małżonków Wodzińskich. Otrzymała na chrzcie imiona Maryi Anny Józefy Nepomuceny. Ród jej, dobrze ojczyźnie zasłużony, szczególnie w drugiej połowie XVIII stulecia zajął był w kraju wybitne stanowisko. Większą jednak, niż miłości własnej lub próżności jedynie schlebiającym odznaczeniom, przywiązywał wagę do zalet serca i duszy, do wrodzonych umysłowych zdolności, do tej wyższości intelektualnej i moralnej, które tradycjami uświęcone, stanowiły najchlubniejszą, zazdrośnie pielęgowaną spuściznę. Pradziad Maryi ¹⁾ holdował muzom,

¹⁾ Por. »Ateneum«: *Nieznany rymopis polski, Kazimierz Wodziński, stolnik kowalski, 1695 — 1754 r.*

brat jego, prowincyał Augustyanów polskich, sływał jako kaznodzieja ¹⁾). W bliższych czasach mądrością i gorliwością za-jaśniał Gabryel Wodziński, biskup smoleński. Cały kraj znał Ignacego, jenerał-lejtnanta, który jako komendant Korpusu kadetów, począwszy od Kościuszki do Chłopickiego, całą naszą młodź wojskową wychował. Dziad zaś macierzysty Maryi, Jan Paweł Wodziński, wielokrotny poseł na ostatnich sejmach Rzeczypospolitej, obrotny, ambitny, ruchliwy, rządny czynu, i po upadku kraju nie zaprzestał służby publicznej. Kolejno landratem, landdyrektorem, prezydującym sędzią przy kamerze warszawskiej, w sprawowaniu swych nowych, wielce drażliwych funkcyj starał się, o ile możności, łagodzić żelazny ucisk władz pruskich w obronie praw i potrzeb współrodaków. W domu jego, na Grzybowie, gromadzili się najwybitniejsi ludzie ówczesnej doby. Pałacyk ten, przy ulicy Królewskiej pod Nr. 1640 zapisany, dopiero w ostatnim dziesiątku przeszłego wieku uległ rozbiórcce.

Tam się też wychowywała matka Maryi. Nad jej dzieciństwem ciężkie zawisły chmury. W kwiecie młodości i urody zesza ze świata jej matka, Barbara z Mikorskich, kasztelanka gostyńska. Nurtująca, hartem tylko męskiego ducha, tłumiona tęsknota za odartą ze swej odwiecznej wspaniałości ojczyzną, za zniweczonymi górnemi nadziejami życia, za utraconą ukochaną żoną, skróciły także pasmo dni jej ojca. Wszystko, co otaczało sierotę, co o jej młodociane obijało się uszy, żal za utraconym bytem, wciąż wśród bólu odradzające się nadzieje, ciosy spadające na nią i pozbawiające niemal od kolebki ciepła rodzinnej miłości, musiały weześnie rozwinąć jej umysł, zaostrzyć wrażliwość, zahartować serce, stężyć władze myślenia. Nastawały przełomowe chwile. Jakby wichrem niesione przez lądy i morza, imię Bonapartego przechodziło z ust do ust. Dreszczem niepokoju i oczekiwania tłukły się serca, zasłuchane w te zwycięskie gromy: Lodi, Arcole, Marengo, Abukir. Już Legiony polskie płomiennym tumanem biegły z Zachodu na Wschód, już w powietrzu coraz głośniejsz odzywała się pobudka:

¹⁾ Kazania jego, drukowane w 1719 i 1720 r., stanowią dzisiaj wielką rzadkość bibliograficzną.

Marsz, marsz Dąbrowski,
Z ziemi włoskiej do Polski!

Małk
Teresa
Wojak

Zadrzały piersi echemi trąb i surm bojowych. Na legendowym koniu białym ujrzała Warszawa wjeżdżającego w swe mury nowożytnego Cezara. W czarnych oczach podczaszanki, wzruszenie zwiastującego się nareszcie wyzwolenia wywołało łyzy radosne, lecz wznowiło zarazem bolesne wspomnienia. Nie patrzył jej ojciec na lot wskrzeszonych polskich orłów. Już od kilku lat leżał w grobie. Za nim niebawem poszła i starsza córka Krystyna, młodsza Teresa zaś pozostała jedyną spadkobierczynią jego imienia. Ojcu zawdzięczała także pierwszy światły kierunek, nadany jej kształceniu. To też energia i stanowczość, nie wykluczające jednak nie-raz do granic egzaltacji posuniętej uczuciowości, odbijały się u niej w pewnej męskości, lecz zarazem i dobroćliwo-ści wydatnych rysów twarzy. W pojęciach, pod wpływem ducha epoki, podlegała na równi racjonalizmowi Encyklope-dystów i sentymentalnej filozofii Rousseau'a. Lecz w jej du-szy wrodzona tkliwość kobieca łagodziła zawsze tak porywy dumy, jak i bunt niepodległego umysłu. W grubym, pozo-stałym po niej zeszycie, w którym spisywała zwykle swe wrażenia, przeważnie w modnym na owe czasy francuskim języku, podkreśliłbym kilka znamienych uwag, świadczą-cych, że niezależność ducha nie zdołała jednak wykorzenień z jej serca przez długi szereg następujących po sobie po-koleń przekazanej, a z mlekiem matki wyssanej, głębokiej, prostej przodków wiary. Wolę poprzestać na żarliwych sło-wach, które tej gorącej duszy natchnęła pierwsza miłość: „Ktoś powiedział, że miłość romansem serca, a doznane przez nią rozkosze — historią jego. Lecz nazwać ją wypa-dałoby raczej mgłą duszy, sympatycznym napięciem myśli dwóch do siebie wzajemnie dążących istot. Z tej mgły zbierają się chmury wspomnienia, rześistą opadające rosą na ranki, ale także i na wieczorne zorze życia. Ona to nagromadza w naszym sercu burze żądz, ona przez czarownicą moc wyo-brazni i uczucia odsłania nam nie zrównany, choć często także niedosiężny ideał szczęścia. Szybsza niż strzała, naglejsza niż piorun, miłość przesywa, trawi, pali i mrozi zarazem.

Kto dotknięty jej grotem, już to zdaje się tonąć w bezbrzeżnym oceanie szczęśliwości, już też wtrąconym się czuje w otchłań bezdenną. Ze szczytów najwyższej rozkoszy serca zakochanych, naraz strącane bywają na padół cierpień i lez. Często też porwane prądem namiętności, oddają się bezwładnie jej falom“.

Ale mogła też dodać, że serca zakochanych niezłomne bywają hartownością dyamentu. Dała bowiem tej niezłomności dowody, gdy licząc zaledwie dwudziestą wiosnę życia, opiekunom swym oznajmiła swą wolę, w tym zwiężłym dylemmacie zawarła: „On albo żaden!“ Tym wybranym był jej bliski krewny, Wincenty Wodziński ze Służewa, syn Antoniego chorążego brzesko-kujawskiego i Kassyldy z Orsettich. Kollizya między obowiązkiem a uczuciem w owym sercowym epizodzie polegała na tem, że ojciec zakochanego był jednocześnie głównym opiekunem zakochanej. Prawość szlachcica starego autoramentu, aczkolwiek jego własna fortuna w trójnasób¹⁾ przewyższała mienie powierzonej jego pieczy pupilki, kazała mu oddalać od siebie choćby najlżejszy cień podejrzenia, iż mógł korzystać z praw swoich i powagi, by w celach niskiej interesowności skłonić zamożną bratanicę do oddania ręki synowi swemu. Czy wobec kategorycznego oświadczenia rezolutnej panny, ustąpienie chorążego było dla niego ofiarą? Twierdzić nie śmiałyśmy. Przemogła zapewne miłość ojcowska. Jakkolwiekbądź, przez ten związek zespoliły się w jednej ręce szerokie obszary najprzedniejszej naszej kujawskiej gleby.

„Złoto ni zaszczyty szczęściem nas nie darzą“. *Ni l'or, ni les grandeurs ne nous rendent heureux* — być może. Ale gdy hojność darów doczesnych łączy się jakoby w akkordzie dwóch serc, zlanych w jeden zmysł i jedną duszę, gdy się tym sposobem wytwarza harmonia między potrzebami ducha

¹⁾ Na końcu XVIII-go i w początku XIX wieku następujące włości znajdowały się w posiadaniu Chorążego: na Kujawach klucz Służewski, dobra Michałowo i Kobielice, Sulkowo, Siemowo i Siemnowek, dalej wsie rycerskie Zeszyn i Zeszynek w Prusach, Golembiowo i Raciborowo w Gostyńskim — razem około 600 włók, czyli 18.000 mórg polskich obszaru.

a zewnętrznymi wymaganiami świata, gdy dobrobyt lub nawet zbytek nie wykluczają wcale ani dostojności uczuć, ani pragnienia wyższych ideałów, ani zastosowania względem bliźniego przepisów chrześcijańskiego miłosierdzia, czyż zaprzeczyć się da, że niezależność, którą nam zapewnia majątek, nie ułatwia i nie uzupełnia w wielkiej mierze szczęścia ziemskiego?

II.

W takiej to atmosferze jasnej i pogodnej wzrastała młodziutka Marya. Natura czuła, wrażliwa. Od najwcześniejszych lat władze jej duszy, jak struny dźwięcznej harfy, dostrajały się do tonu otaczających ją najbliższych wpływów, nawyknień i przykładów. Od matki wzięła owe lotne porwy ducha, częstokroć stające się męką naszą lub wyrażające się, niestety, w cześć deklamacyjność, gdy im nie towarzyszy odpowiednie napięcie wyższych samowładnych uzdolnień, wzięła zamiłowanie do sztuki, ciekawość, chęć rozszerzenia swych widnokręgów, potrzebę zaspokojenia pewnych wymagań estetycznych — po ojcu zaś z wytwornością form i swobodą obejścia niezrównaną słodycz, oraz powagę charakteru.

Jak ziemia rzadkiej roślinie, tak i środowisko, w którym się rozwijała Marya, sprzyjało jej pełnemu i doskonałemu rozkwitnięciu. W tam rozbudzeniu a ukojeniu zarazem życia narodowego, po wstrząsających gromach epopei napoleońskiej, dom jej rodziców stanowił jakoby ciepłą, jasną a jednak technieniem spotykających się tam i ścierających rozmaitych prądów w słońcu nowych nadziei, barwną i ożywioną przystań. Takimi zresztą były wszystkie więcej znane salony warszawskie ówczesnej doby. Więc jej dzieciństwo upłynęło to owiane urokiem, dla duszy młodej Polki tak wymownym, świeżym, pełnym sławy wspomnień, to wybujałe, wśród tej porywającej serca radosnej świadomości o nowych, w obecnej chwili zapowiadających się nadziejach. Różowość tych lekkich a złotych jak przejrzyste mgły majowej zorzy tak prędko minionych lat musiała, niby w zwiercie-

dle, odbić się w jej duszy i już do najpóźniejszych czasów pozostawić w niej nigdy nie gasnący odbłysek, nigdy nie ble-
dnącą promiennosc.

Po zimie, zawsze spędzanej w Warszawie, z powrotem wiosny, gdy pierwszą zielenią umaili się łąki i lasy, stosownie do upodobania lub dogodności, rodzina przenosiła się do jednej z licznych posiadłości wiejskich, bądź do Sulkowa, gdzie naprzeciw starego dworu wznosił się głęboką fosą obwarowany wyniosły okop szwedzki, bądź do moderzewiowej siedziby Bogusławickiej, ocienionej szpalerami odwiecznych, miodem pachnących lip, bądź też do Służewa. Tam, w ciężkim kamiennym grodzie, upamiętnionym pobytom w swych murach Jadwigi i Jagielly, daremnie tu — jak Wapowski wspomina — oczekujących przybycia posłów zdradzieckiego Zakonu, snuły się dla dziatwy złote przedziwa marzeń. Tam nad stawem u stóp zameczyska, na poły wtenczas w ruinach pozostającego, szumiały brzozy, graby i wiązy w dal, jak z olbrzymich szmaragdowych kadzielnic, noszących całą upajającą woń młodej wiosny. Do koła lasy ciemno-szafirowym pierścieniem opasywały amfiteatralnie rozłożone płaskowzgórze. Tuż nad błękitem wód jeziora, wysoko nad szaremi dachami domostw królowała świątynia, niegdyś pobożnością Anny Kosteczanki wzniesiona. Dziś na tle tęsknych, bladych niebios, zarysowywała szczerbatą, pożogą wojen i pożarów szczerzoną czworograniastą przysadzistą swą romańską wieżycę. W takich to ramach sielskości rodzimej schodziły dnie wywezasów letnich, aż znowu z nastaniem pierwszych szronów, taborem licznym i bucznym wzdłuż dróg piaszczystych, między rzędami drżących listkami topoli lub wierzb zmurszałych, gdzie „przykucnięta siedzi święta a biedna kujawskich chłopków dola“, w powrocie do stolicy sunęły w piątkę zaprzężone ciężkie zeszlowieczne kolasy, z długim pocztem ciągnących za nimi ładownych bryk i wozów.

Warszawa pod koniec drugiego dziesiątka minionego wieku, porwana prądem wciąż powracających nadziei, płonąca ogniem odnawiających się zapalów, wierzyła w jaśniejący już świt lepszej przyszłości, ufała w szczerę zamiary „monarchy wskrzesiciela“. Jako nowy Fenix, Polska odrodzić się miała. Patrzano z dumą i otuchą na wojska

narodowe, chwałą stu zwycięstw wslawione. Słuchano rozpraw mądrych przedstawicieli kraju. Uczelnie w duszach młodzieży rozniecały czysty płomień ideału. Magnaci dawną nie tradycyi nawiązywali z szerszemi poglądami obecnej chwili. Szlachta tłumnie podążała za ich przykładem. Nigdy może nadwiślański gród nie czuł się istotniejszem sercem ojezyny, gotowszym do wszelkich ofiar, zdolniejszym do wszelkich wyrzeczeń, prócz jednego — wyrzeczenia się wiary i nadziei. Można powiedzieć, że w każdym domu polskim polskie wówczas serce biło. Takim był też dom rodziców Maryi. W ich mieszkaniu, czy to na ulicy Przejazd, czy na Franciszkańskiej, czy wreszcie, i to najdłużej, na Miodowej, codziem wieczorem gromadziło się towarzystwo złożone z licznych krewnych, przyjaciół i znajomych: Mikorscy, Lasoccy, Łubieńscy, Łempiccy, Nakwascy. Często gościem bywał tu także Jan Paweł Łuszczewski, b. minister za rządów Księstwa Warszawskiego, a którego córka Konstancya w tych czasach właśnie oddała swą rękę starszemu bratu naszego gospodarza. Do tego grona należeli także Wojciech Plater z córką Izalią, matką dzisiejszego wygnanego biskupa Roppa, a między rówieśniczkami najdroższą przyjaciółką Maryi. Dalej Rembieliński, ex-prefekt, rzutki, hojny, przedsiębiorczy, zawsze pełen wiary w swe plany i pomysły. Woliccy, ojciec i syn — pierwszy ostrożny, zamknięty w sobie, na ogolonej, jakby skamieniałej twarzy noszący powagę tajnego radey, prezesa sądu najwyższej instancyi, drugi, powiernik i wspólnik Steinkellera, niepoczyszony jeszcze po stracie ukochanej żony, córki emigranta francuskiego, margrabiego de Kermerson, a siostrzenicy słynnej na obu półkulach śpiewaczki Angeliki Catalani¹⁾. Wymienimy jeszcze bar. d'Alphonce, pułkownika Wielkiej armii, więcej niż dziełami wojennemi, słynny u nas zakładaniem pięknych parków i ogrodów. A ponieważ, jak wiadomo, pani domu żywo zajmowała się także belletrystyką, zatem w jej salonie i literatów nie brakło, jak Klementyna z Tańskich Hoffmanowa, do końca życia w ścisłych pozostająca z nią stosunkach, Bogusławski, Dmo-

¹⁾ Poślubiła generała hr. de Valabrègue, margrabiego de la Voestyne, z którego siostry rodziła się pani Wolica.

chowski u szczytu swej chwały, nad którą wschodziło już jednak promienne słońce romantyzmu i Kazimierz Brodziński, czuły, subtelny piewca *Wiesława*, mimo, czy też raczej gwoli gorącego patryotyzmu, „ngodowiec“ ówczesnej doby, złotym omamem złudzeń, aż do wyparcia się swych dawnych wierzeń i przekonań wiedziony. „Ten, co chciwą dłonią cały świat wyzyskał“ — tak teraz odzywał się o Napoleonie, swem wczorajszem bożyszczu, na cześć zaś Aleksandra dostrajał swą lutnię:

Brodziński

Nie! Ten, który oliwą chce uwieńczyć ziemię,
 Zrzucić z Polski to straszne tłoczące ją brzemie,
 Da jej imię i prawa przy opiece swojej,
 Jak zesłaniec pokoju rany jej zagoi...
Pod tarczą Aleksandra miejmy sen spokojny...
 W monarsze każdy ojca dobrego posiada,
 On daje wolność druku, wszechnice zakłada.
 Dobrzy syny, dajmyż się życiu ukolysać,
 Wolno pod jego tarczą i działać i pisać.

Lecz oto w tej galerii — o bladym licu, o smętnych, głębokich, piwnych oczach, o miękkich, połyskiem złotego jedwabiu mieniących się włosach, na pierwszym zjawia się planie młodzieniec. To Fryderyk Chopin. Nie tylko w dziejach tej rodziny, nie tylko w marzeniach i sereu Maryi zostawi on niezem już nigdy nie zatarte wspomnienie, lecz niebawem rozbrzmieje jego imię echem nieśmiertelnej sławy. Najmilszy to towarzysz rozmarzonej czarnobrewej dziewczeczki, przyjaciel serdeczny jej braci, wcielenie najwytworniejszej, najprzedziwniejszej a zarazem najgłębszej i nawskróś polskiej harmonii. W tym salonie, przy świetle starych lamp, mocą wspomnień przywołujemy znane a drogie nam duchy. Tu między Fryderykiem a Maryą zawiązały się pierwsze przędzy tej bajki cudownej, wątłej jak brylantami rosy skrząca się w poranku mgła wiosenna, a tak trwałej jednak, że ją ni wichry, ni burze życia, ni płynące po sobie siłą fal zalewnych lata nie zdołały rozerwać. Już wtenczas może zrywała z nim Marynia u zdrojów Helikonu pierwiosnki dziecięcej poezyi. Bo czyż rzeczywiście samoistnie na łąkach jej uczucia wykwitły te

zwrotki, któremi matkę w dniu imienin darzyła? Czy nie pomagał jej w natchnieniu, uprzejmy a tak zawsze usłużny *l'ami Fritz*, a może tylko która z jego siostr, bo rymowanie było w tej rodzinie w zwyczaju. Nikt pewnie nie rozwiąże zagadki tej autorskiej należności, a i potomność nie straci na tem, jak czytelnik zresztą z przytoczonych tu wierszy, w podwójnym ich oryginalnym tekście, polskim i francuskim, łatwo się przekonać może:

DROGA MAMO.

Nie jest mym celem, bym darząc kwiatami,
 Chciała malować moje przywiązanie,
 Bo ich zapachu wraz z ich kolorami
 W zbyt krótkim czasie powabność ustanie.
 Róża jak w jednej chwili rozkwituje,
 Tak też więdnije w chwili jednej właśnie;
 Lecz to, co dla cię moje serce czuje,
 Skończy się wtedy, gdy z mem życiem zgaśnie.

MA CHÈRE MAMAN.

Ce n'est point en offrant des fleurs
 Que je veux peindre ma tendresse;
 De leurs parfums, de leurs couleurs
 En peu d'instants le charme cesse;
 La rose naît en un moment,
 En un moment elle est flétrie:
 Mais ce que pour vous mon coeur sent,
 Ne finira qu'avec la vie.

Lecz to dopiero preludjum, jakoby dziecinne *scherzo* do *andante* białej symfonii, którą w dziesięć lat później razem odegrać mieli. Teraz nastały dni grozy i dni płomiennych uniesień, dni bohaterskich pasowań się z nieubłaganym a zawsze zawistnym nam losem i dni zwątpienia. Jak z drzew, okrutnym ściętych mrozem, tak z dusz naszych opadały ostatnie złote liście złudzenia. Nadeszła noc listopadowa, nagle w swych mrokach bijąca łunami pożarów. Zadrżały serca matek. Wyplakały wszystkie lzy oczy siostr i kochanek, tylko

w rycerskich piersiach młodzi polskiej hymnem weselnym rozbrzmiał hejnał bojowy. I pobiegli wszyscy do walki, niby ci starożytni *lampadum cursores*, nieustraszenie unosząc przed sobą kaganiec, zwiastujący w dal ostateczne zwycięstwo światłości i wolności. Fryderyk już był opuścił Warszawę, nieświadom zbliżającej się godziny. Gromem uderzyły na niego na obcej ziemi nadchodzące z kraju wieści. Lakoonomą męką wstyd i rozpacz owinęły się o serce jego. W straszliwych węzowych uściskach żalu i bólu zgasły przed nim świetlane wspomnienia dziecińczych uniesień, znikł obraz młodziutkiej Maryi. Bo cóż znaczą dlań wtedy owe naiwne marzenia? On już tylko myśli o towarzyszach swych, rwących się do broni i śmierci za ojczyznę. A on ojczyznę opuścił, on już jej służyć i za nią walczyć nie może. I wtedy to, niby śpiew zatracenia, niby wizya prorocza klęsk, cierpień i poniżeń, które na nas spaść miały, rodzi się w swej tragicznej grozie niezrównany poemat, nazwany Sonatą b. mol, a zakończony tym cudnym, pełnym ukojenia *tempo marziale* finału. Czy w nim promieniem nie przeszło wspomnienie młodziutkiej przyjaciółki? Może na chwilę jasnością nadziei anioła przesunęła się jej postać przed oczyma mistrza, wskazując mu ku górze niebieskie sfery wiekuistego spokoju i szczęśliwości, w których blasku, jak w oceanie, zatoną wszelkie bóle, smutki, bunt i zwątpienia duszy. I za tem widzeniem oto odżyła tkliwość myśli i serca. Gdzież ona, ta słodka, czarnooka Marynia? Czyż ją kiedy ujrzy jeszcze w życiu? Gdzież jej bracia, starszy szczególnie, ten serdeczny druh jego, miękki jak wosk, a z lwim sercem w duszy? Obaj, boć trzeci przecież jeszcze niezdolny do dźwignięcia broni, zamienili uniwersyteckie mundury na oficerskie kurtki strzelców konnych. Matka nie podała im tarczy ze sławnem orzeczeniem Spartanek: „Z nią albo na niej!“ — lecz obawy swoje w sercu zawarłszy, w miłości pełnym uśmiechu lży tłumiąc, pożegnała ich odwiecznym polskiem: „Idźcie z Bogiem!“ Ale oto nadchodziły już Fryderykowi i szczegółowe wiadomości. Ten jego kochany Antek ¹⁾ biegł do ognia jak do tańca i do wesela.

¹⁾ Antoni Wodziński, najstarszy z trzech braci Maryi, najdroższy przyjaciel Chopina, ur. 1812 r., zm. 1846 r.

Brał udział we wszystkich bitwach: w trzydniowych bohaterskich zapasach pod Grochowem, pod Dębem i Mińskiem Mazowieckim, pod Złotoryą i Ostrołęką, pod Krymkami, gdzie za waleczność przedstawiony został do krzyża, pod Rogoznianką, Opolem i Józefowem, wreszcie pod Borową. Lecz na nic się zdały najofiarniejsze młodociane zapaly, na nic stopy całopalenia, na nic przelały się strumienie najserdeczniejszej krwi, na nic ścięte kwiaty i kłosy najprzedniejsze z ziemi naszej! *Trop tôt ou trop tard* — powiedział ks. Adam Czartoryski o wybuchu powstania listopadowego i zdawało się, iż to samo złowrogie *fatum* nie przestało nas ścigać od najpierwszych dni rozpaczliwych wysiłków i zabiegów. Gdyby Bonaparte rozpoczął był swój zwycięski pochód o dziesięć lat wcześniej, gdyby Austerlitz i Jena uderzyły były gromem wtenczas, kiedy za głosem Kościuszki lud, z odwiecznego zbudzony letargu, uzbroił się do walki o byt i niepodległość — Maciejowice nie ostatecznym ciosem, lecz zwycięskim stałyby się zapewne odwetem. *Trop tôt ou trop tard!* tragedia powtarzająca się ciągle. Po Paszkiewiczowskim szturmie Warszawy, w dwa dziesiątki lat poddawał się Sebastopol tryumfującym sprzymierzonym armiom Zachodu. I tak wciąż do ostatniej doby.

Więc rozpaczliwym wołaniem, tym jękiem żywo pod głazem zagrzebanej ofiary, rozdzierającym duszę tonami strasznej sonaty, zakończyć się miała nierówna walka. Już nieprzyjaciel stanął w Warszawie, już hufce polskie tulaly się w rozbiciu, już, jak dawni Rzymianie, ojcowie narodu, z miasta do miasta przynosząc sacra i penaty, w coraz to nowem obradowali miejscu. Już nowym tłumem wygnańców pokryły się dalekie szlaki. I z nim też, z odzyskanymi swymi orlikami, podążała matka Maryi. Czyż ganić ją należy, że zachwiał się w niej hart duszy, że złamała się duma i wiara? Teraz z patriotki pozostała tylko strwożona o los swych dzieci matka. Nie szczędziła ani starań, ani łez, ani błagań nawet, aż przygarnęła pod skrzydła i znowu w gnieździe zgromadzone ujrzała wszystkie swe dzieci. A nie dość jej było oglądać młodych junaków, zdrowych, oczernionych prochem i dymem bojowym, tęskniących wprawdzie za sławą, która im się była uśmiechnęła, podobna do płoczej i niesta-

lej kochanki, lecz już odruchem młodości zwracających się do radosnych nowych obietnic i darów życia — nie doznała spokoju, nim na obojętnie nie znaleźli schronienia.

Po chwilowej rozsypce zjednoczona rodzina rozpoczęła pięcioletnią swą zagraniczną pielgrzymkę. Pierwszym jej etapem był Berlin. Tu przy końcu 1831 r. powiększyło się jej grono przybyciem na świat szóstej a ostatniej latorośli. Była nią ¹⁾ *la petit mamoisel Terez*, jak ją żartobliwie w swych późniejszych listach Chopin przezywał. Stamtąd, po kilkomiesięcznym pobycie w Dreźnie, zawsze urokiem dawnych wspomnień rodaków pociągającym, a gdzie był też z małżonką osiadł starszy brat ojca Maryi, zasłużony ojczyźnie Maciej Wodziński ²⁾, droga wiodła dalej na Zachód, aż ku różowym szczytom, aż ku jeziorom błękitnym wolnej Helwetów ziemi.

W Genewie, nad Lemanem, w tej wolnomysłnej a sekciarskiej zarazem, duchem Rousseau'a i Kalwina zarówno przesiąkniętej stolicy, obrała matka Maryi stałą tymczasową siedzibę. Co ją do tego wyboru nakłoniło? Czy pamięć ojca, chłodnemu hołdującego racjonalizmowi? Czy cześć dla uwielbianego przez tyle pokoleń patryarchy z Ferney? Czy raczej niezatarte jeszcze wpływy tkliwego Jana Jakóba, autora *Nowej Heloizy* i *Kontraktu społecznego*? Czy świadomość, że w tej szczęśliwej krainie w piersiach każdego płomiennym kwiatem wybuja zarówno miłość ojczyzny i swobody? Czy może tańsze warunki życia, pozwalające zadośćuczynić wykwiłtniejszym wymaganiom i potrzebom? Czy wreszcie

1) Teresa Wodzińska, ur. 1831 r., zm. 1867 r., późniejsza małżonka Leona Wodzińskiego z Suchej i Białobrzeg.

2) Ur. 1782 r. w Golebiowie, zm. w Dreźnie 1848 r., major wojsk napoleońskich, członek deputacji przyjmującej Napoleona w Wilnie, walczył do ostatniej chwili przy boku i jako adjutant ks. Józefa Poniatowskiego. Wzięty do niewoli za powrotem; poseł na sejmy Królestwa Kongresowego, sędzia najwyższej instancji, senator-kasztelan, senator-wojewoda 1830 r., ozdobiony krzyżem *virtuti militari*, oficer Legii honorowej, orderów św. Stanisława i św. Grzegorza W.; zgromadził bogatą kolekcję rycin, numizmatów, białych kruków, które stały się zaczątkiem Biblioteki polskiej w Paryżu.

głównie nadzieja, iż tutaj łatwiejszy, niż w innych wielkomijskich ogniskach, znajdzie dla swych dzieci przystęp do wiedzy i sztuki? Zapewne wszystkie te pobudki razem — jeśli nie wyłącznie owa rozstrzygająca moc wypadku, częstokroć nagłym i niespodziewanym zwrotem losy nasze na inne, zgoła odmienne, niż były w przewidywaniach naszych, kierująca koleje.

W Genewie zatem miała przeżyć Marya owe lata, które niby zaklęciem tajemniczego czaru, dokonywują cudu podwójnego przemienienia, czyniąc z dziecka dziewczę, a z dziewczęcia kobietę. Zamieszkali Wodzińscy w willi na „Quai Beau Rivage“. Gdy Marya roztwierała oczy, z okien swych witały ją lazury niebios, odbijających się w przezroczu jeszcze uspionych szerokich wód jeziora; pieściła woń śpiewem słowików rozdzwiczonych, szkarłatem róż płonących ogrodów, nęciły w zlocie młodego słońca skąpane frontony świątyń, wyniosłe fasady gmachów, a nad niemi w przejrzystej mgłę spowite liliowe szczyty Alp. Te światła, tony, barwy, kontury wnikały w jej duszę czarem tęczowej jakiejś harmonii. Wzrok upajał się blaskiem niewymarzonych dotąd obrazów. A jednak ten z tęczowej baśni jakoby wysnuty czarodziejski świat, tak różny od biednych, szarych, smętnych nadwiślańskich równin, w tej wrażliwej młodocianej duszy wywoływał nieznaną dotąd w swej rzewności tęsknotę wspomnienia. Zachwyty i radość życia mieszały się z nieokreślonym, pierwszy raz odczuciem wzruszeniem. I oto już dla niej nad brzegami jeziora, czy w cieniu wysmukłych, o białej gładkiej korze, platanów, nadchodziły chwile zadumy. Jakaś słodka pieśnią, znaną i nieznaną, kołysały ją wabiące słowa: „Miesiąc powstał, uspiły się cienie — podałem jej rękę i już nie wypuściłem ją z dłoni, skoro u jej boku zająłem miejsce w łodzi. W głębokim płynęliśmy milczeniu. Czulem, że we mnie wzmagala się tęsknota. Przejrzystość nieba, świeżość fal, łagodnym nas owiewająca chłodem, srebrna poświata, miłosnym dreszczem pieszcząca powierzchnię toni, obecność miłego przedmiotu mych westchnień — wszystkie te obrazy, wszystkie te wrażenia nie zdołały uwolnić serca z bolesnej zadumy. O Julio — rzekłem -- oto widzisz miejsca, gdzie niegdyś za tobą tęsknił najczulszy i najwierniejszy kocha-

nek! Oto kamień, na którym zwykł siadywać w rozpamiętywaniu uroczych wdzięków twoich". Tak przeszło sto lat temu Rousseau ustami Adolfa odzywał się do Heloizy. Dziś te wyrazy wydają nam się ekliwe, bez treści, ni woni, jak poźółkle, między kartkami książki zeschnięte kwiaty. Lecz naówczas zachowywały one jeszcze całą świeżość swoją. Przemawiały do młodziutkiej Maryi pieśnią nieokreślonych, przeczutech wrażeń. Bo wszystko dokoła niej składało się na wczesny jej rozwój uczuciowy i duchowy: niezrównanym blaskiem i czarem jaśniejąca przyroda, nowe, coraz w swej promienności rozszerzające się umysłowe widnokreśli, wytworność życia, środki materyalne, pozwalające urzeczywistnienia wszelkich nawet fantazyj, piękno i sztuka, odsłaniające przed wyobraźnią zakłętą dotąd zaczarowane dziedziny, wreszcie słodycz najczulszej spójni rodzinnej i ta wiara, ta wesołość, ten gwar młodzieńczy, które niby różową luną wschodzącej zorzy wiosennej ozlacały wewnątrz tej polskiej na obczyźnie siedziby.

To też w jej progach, zwabieni starodawną gościnnością, zbierać się niebawem poczęli ziomkowie — ptaki wędrownie z nizin nadwiślańskich, i z litewskich puszczy, i z ukraińskich stepów, aż na ziemię Tella zagnani. Klaudyna z Potockich Działyńska, której serce, na podobieństwo żywego stosu, płonęło ofiarnością, bracia Mięczyński, Aleksander, Mieczysław i Witold, kasztelan Plater z córką, dawny znajomy z warszawskich czasów Cichocki i tylu innych, nie pominąwszy pierwszej może koryfeuszki ruchu kobiecego w Polsce, Klementyny z Tańskich Hoffmanowej, jak przynajmniej wnosić się daje z jej listu, już z Paryża w r. 1834 pisanego. Podaję go tu w całej osnowie, raz, że ciekawe światło rzuca na warunki duchowe i realne z życia znanej autorki; a powtóre, że zawiera poniekąd horoskop, jaki ta niepospolita kobieta już wtedy wyrzuciła Maryi:

„Łaskawa Pani. Od czasu, jakieśmy się rozstały, już dawno nie pisałam do Niej. Przyczyną tego opóźnienia było oczekiwanie na pierwszy tom *Rozrywok*. Kiedy ten jednak wyszedł, považam się posłać pod adresem Pani 10 egzemplarzy, z prośbą, aby szanowna Pani raczyła koszta pocztowe opłacić z zakupionych tomów. Tom sprzedawać się ma po

sześć franków. P. Nakwaski podjął się sprzedaży kilku. Przepraszam Panią jak najmocniej, że ośmieliłam się narzucić Jej ten kłopot; ale to wszystko w nadziei Jej dobroci i przez pamięć tylu dowodów łaskawej przyjaźni, które od niej doznałam. Chociaż wydanie pierwszego tomu tak się opóźniło, w ciągu tego roku, da Bóg doczekać, wyjdą jeszcze trzy tomy. W Opatrzności Jego nadzieja, iż ta praca użyteczną będzie dla kraju, a dla mnie, prócz pociechy, jaką taką korzyść przyniesie. Wreszcie, jakikolwiek wezmą rzeczy obrót, zawsze będę miała to miłe przekonanie, że ręk nie opuszczam i gwałtem pracuję w tym zawodzie, do którego najwięcej mnie zachęca pochlebne świadectwo i poparcie takich światłych i czułych, jak Pani, matek. Jestem przekonana, że piękny talent Maryni w muzyce i malarstwie, pod kierownictwem tak słynnych metrów, na jakich padł wybór Pani, rozwijając się coraz szczęśliwiej, stanie się niebawem ozdobą jej samej, a w przyszłości chlubą dla kraju. Wracając do moich zajęć i projektów, wydają się te w rzeczywistości trudniejsze do wykonania. Jeśli mi się *Rozrywki* powiedą, to podobno już będę zaspokojoną tem nowem usiłowaniem dla matek i dzieci polskich i już oddam się temu zupełnie do czasu, dopóki Bóg nie pozwoli wrócić do wolnej Ojczyzny. Mąż chodzi tu bardzo usilnie za kawałkiem chleba i zdaje się, że coś wychodzi. Piszę o tem Pani, bo wiem, żeś tyle łaskawą dla nas, że los nasz nie jest Jej obojętnym. Jakżebym rada, żeby myśl zwiedzenia Paryża spełniła się. Jak teraz się rzeczy obracają, może tu będzie nowy powab dla Pani. Kostusia ¹⁾ i p. Wojewoda ²⁾ podobno na tem skończą, że tu zostaną. Już p. Wojewoda nie jest wcale od tego. Adamostwo Łuszczewscy tu także od dwóch miesięcy; zimowali w Hawrze, ale się przekonali, że nigdzie tak znośnem nie jest wygnanie, jak w Paryżu. I w samej rzeczy, kiedy nie w kraju, to tutaj, coraz mocniej się o tem przekonuję. Żegnaj Panią jak najczulej. Moje zdrowie teraz wyborne. Życzę Jej podobnego, a sobie życzę, aby Pani była na mnie tyle łaskawą, jak dotąd być raczyła i jak mój szacunek dla

¹⁾ Konstancja z Łuszczewskich Maciejowa Wodzińska.

²⁾ Maciej Wodziński, stryj Maryi.

Niej jest stały i niezmienny. Mąż mój najuniżeńsze składa uszanowania, a ja dla całej milej rodziny Pani ukłony załączam.

Klementyna z Tańskich Hoffmanowa“.

Z tych słów widać, jak staranną przynosiła matka Maryi troskliwość w wychowaniu i kształceniu swych dzieci. I oto (do wyżej już wspomnianych gości należy dodać i tych „słynnych metrów“, których wybór pochwała autorka *Rozrywek*. Lekcyj muzyki udzielał Field, dziś jeszcze ceniony i nieprzeżyty kompozytor, malarstwa — Mister Bishof czy Barselop, Anglik rodem, profesor genewskiej Akademii sztuk pięknych. Towarzyszył mu zwykle nieodłączny przyjaciel Włoch, nauczyciel śpiewu. Literaturę i historję wykładali najprzedniejsi uczeni, liczni w dawnej Kalwina stolicy, „Ten świetny sztab „intelektualnych“, jakby dziś powiedziano, uzupełniały wychowawczynie domowe: Mlle. Mallet, Francuska, przejęta świeżemi jeszcze wspomnieniami wspaniałej epopei cesarskiej, więc też cześć niemal bałwochwalezą otaczająca młodego, a często tu obecnego dziedzica napoleońskiej legendy, ks. Ludwika; nakoniec dwie Angielki, Miss Milner i Miss Wagner; ta druga, promiennej urody, godnej pędzła Lawrence'a, miała być niebawem przez śmierć przedwcześnie skoszona, pozostawiając na długi czas cień smętku i melancholii w czulej, kochliwej duszy owego dzielnego Antka, najbliższego przyjaciela Fryderyka, a najmilszego Maryi pomiędzy braćmi.¹¹

Ale czemuż, niestety, żadnemu z uczestników i świadków tych w oddali coraz więcej błękitniejących dni, nie przyszło na myśl spisywać doznanych wrażeń przeżytej, przelotnej chwili? Ileż mógłby był przekazać nam barwnych lub znamiennych obrazów? Ileż momentów godnych uwiecznienia? Oto we drzwiach szklanych bawialni, roztwartych na wieczorną ciszę ogrodu, obłany porpurą zachodzącego słońca, niby słowiański Febus-Apollo, w koronie włosów, ciemnym płomieniem okalających jego twarz potężną, stanął na chwilę, w przejeździe — Adam Mickiewicz. Czyż nie tu, po raz pierwszy może, hardem zmierzyli się okiem dwaj tytani poezyi naszej? Czy nie tego wieczoru i nie w tym salonie Adam, do

końca życia płomienny w sercu kult żywiący dla tego, „którego Imię czterdzieści i cztery“, nie usłyszał powolnie, nosowem brzmieniem wymawianych słów młodego, lecz już w sfinksowej swej zadumie tajemniczego spadkobiercy wielkiego cesarza? Bo ks. Ludwik Napoleon bywał prawie codziennym gościem w willi „Beaurivage“. Pierwszej jeszcze młodości, wierzył w przeznaczenie, czyli w gwiazdę Napoleonidów. Rysy miał wydatne, nos orli. W mętnej barwie oczu nagle zapalał się płomień, tryskający z głębi ukrytych w sercu namiętności. Usta pod jasnym, długim wąsem, urokiem wielkiej tajemnicy jakby zakłete, rozchyłaly się przelotnym przedziwnym dobroci uśmiechem. Wzrostu niskiego, imponował jednak od pierwszego wejrzenia tą wyższością, którą nadaje rysom niezłomny hart duszy. Choć w budowie ciała pozbawiony kształtności — chromał nieco na jedną nogę, a tułów wydawał się nieproporcjonalnie długim — wyśmienicie w sportach wszelkiego rodzaju wyćwiczony, każdemu z ruchów i gestów swoich potrafił udzielić wiele wdzięku i powagi. W zręczności i zwinności mało mu kto dorównywał. Jaskółkom w locie prawe czy lewe skrzydło, stosownie do zapowiedzi, kulą przebijał. Jeździec był doskonały, tancerz niezmordowany, nikt mu nie dotrzymał placu. Burzliwą już miał za sobą przeszłość. Towarzysz Karbonarów włoskich, choć pod ich sztyletem padł jego brat starszy Karol, dotrzymał im uczy-nionego ślubu, a cesarzem zostawszy, wywalczył wolność i jedność Italii. Teraz w oczekiwaniu wielkich czynów i działań używał domowych wyweczasów. Na zamku Arenenberg, u boku matki, pięknej zawsze i uroczej królowej Hortensyi, zgromadził koło siebie garstkę na śmierć i życie mu oddanych, a ślepo w jego gwiazdę wierzących zwolenników. Z tradycyi i osobistych skłonności szczerze Polakom sprzyjający, do grona wybranych swoich niebawem i młodych Wodzińskich przypuścił. Po rannych konnych przejażdżkach *Monsieur*, jak księcia zgodnie z protokołem dworskiej etykiety tytułowano, wieczory chętnie przepędzał w willi „Beaurivage“. Namiętny amator muzyki, ginący cały w niebieskich smugach dymu z historycznego papierosa, którego już wtedy prawie że nigdy z ust nie wypuszczał, wsłuchiwał się w te czarowne a tak odrębne melodye nieznanego mu dotąd mło-

dego mistrza polskiego o francuskim nazwisku: *Admirable et bizarre!* — mówił. Gra Maryi swą siłą, wyrazem, oraz zadziwiającą w tym wieku maestryą, przejmowała do głębi jego marzycielską, acz w potrzebie aż do zbrodni nieugiętą duszę. Lecz gdy zdarzało się do tańca młodzież dawała hasło, stawał w pierwszym rzędzie w wirze galopady, którą nad wszystkie polki, redowy, a nawet nad walce przekładał, tancerkę swą w wir unosząc. A była nią zwykle rozkwitająca wtenczas zaledwie jak pąk cudownego kwiatu, ubóstwiana córa patrycyuszowskiego genewskiego rodu, panna Sallentin, wyróżniana później przez ukorowanego pana w Tuileryach, a przez to na cały Paryż słynna hrabina de Pourtalès? Dla niej to na owe czasy ogniem pierwszej miłości rozgorzał najmłodszy brat Maryi, szesnastoletni Kazimierz. A oto obok spadkobiercy nowożytnego Cezara, geniusz przyszej liryki polskiej, blady i dumny, o kruczych gęstych włosach. Żrenice mu się żarzą ogniem czarnych dyamentów, czoło zdobi wyniosłość sklepień marmurowej świątyni. To nie atlasowe barki Adama, zdolne na sobie świat udźwignąć, ale w tej wątlej budowie ciała kołata już technienie Króla-Ducha. Ten duch, w cierpieniu, załśni, niczem najczystsze złoto w ogniu trawione. Z ust bolesnych a szyderych, jakby deszczem gwiazd na „zjadaczy chleba“, padną najwspanialsze, najwdzięczniejsze tony, jakimi kiedykolwiek wśród ludów przemówiły złote struny poezji. Juliusz Słowacki! Z chwilą, kiedy wstępował w progi tego domu, w ślad za nim zawiatała nieśmiertelność — bo na wieczne czasy uplotł poeta promienny wieniec na skroniach jego miłością wyróżnionego dziewczęcia.

A. W.

(Ciąg dalszy nastąpi).

O MARYI WODZIŃSKIEJ.

(Ciąg dalszy).

III.

Słowacki poznał Maryę na początku wiosny 1833 r. Niebo roztaczało swe błękity ponad ciche wody Lemanu. W późnych zorzach wieczornych śnieżne wierzchołki Alp długo, rzekłbyś, różowe płonęły pochodnie. W białych przezroczych gazach tulily się ranki. A gdy w południe słońce zlewało potoki złota, wszystko dokoła zdawało się plawić w jasności: rozsiane w ogrodach wille, szyfrem śniące dachy i wieżyce, rzeźbione gzymsy świątyń i pałaców. Z drzew bila woń odradzających się liści. Już pęczniały lepkie kasztanów kwiaty, z upojną słodyczą bzów idące w zawody.

Juliusz, o lat dziesięć od Maryi starszy, kończył na ów czas dwudziesty czwarty rok życia. Pierwsze ich spotkanie nastąpiło w willi Beaurivage, ale obopólnego odniesionego stąd wrażenia pochlebne nazwać nie można. Poecie, *la brune Euterpe*, wydawała się brzydką, młodocianej zaś muzie poeta pretensjonalnym i śmiesznym. Nie był to w istocie typ młodego karmazyna, nie z tego „podkomorzycy z krainy Lachów“, pod których postacią sam sobie wystawiał ideały panien naszych polskich dworów. Niskiego wzrostu, nieco pochylony, z potężną, na wątlých piersiach osadzoną czaszką, o śniadej cerze, z oczyma to łuną rozpalonych węgli żarzącymi, to przesywającymi zimnem ostrzem

stali, z sępiim nosem, o zmysłowych, dość wdzięcznie zarysowanych, choć często sarkazmem wykrzywionych ustach — tak jak Chopin, z którym miał zresztą niejedną wspólną cechę podobieństwa fizycznego i duchowego, ale bez jego wytworności i dobrego smaku — dbały o wszelkie zewnętrzne formy i pozory, w postawie, ruchach, ubiorze starał się naśladować strojnisiów i dandysów ówczesnej doby. Stąd u niego owa affektacya, która na wstępie zraziła Maryę, owe dziwaczne stroje, jak ta peleryna podróżna, zielonym jedwabnym szlakiem podszyta, to nieopuszczające go nigdzie i nigdy dobre mniemanie o sobie, ta nieszczęśliwa pasya kierowania tańcami, a mazurem szczególnie — „po wolyńsku“. Stąd też zapewne dla dorównania paryskiemu wirtuozowi, a może już przeczutemu rywalowi, nieuzasadnione w niczem pretensye kompozytorskie. Nowo poznanej panience dedykuje walca, który bodaj że tylko w jego istniał wyobraźni. A przecie starczyć mu musiało w wierszach swych najcudowniejszą przemawiać harmonią. Atoli w tej wczesnej wiosnie życia zachowywał całą kapryśną porywczosć zmiennej marcowej pogody. Jego smutek, modnym owiany bajronizmem, jego tęsknota podobiona na wzorach wertherowskiego *Weltschmerzu*, jego miłości i bóle zwracane przeważnie ku sobie. Nie był przeszedł jeszcze przez próbę ognia czyścicowego; dusza jego nie stężała jeszcze hartem i jasnością, w blasku jakim promieniała piętnaście lat później, gdy sam opuszczony, zapoznany prawie, dogorywał w Paryżu. Trzy przeszły pokolenia, nim w głuchych, w zakutych serecach dzwonem żaloby i żalu odbiło się wreszcie ostatnie pożegnanie poety.

Żyłem z wami, cierpiałem i płakałem z wami,
 Nigdy mi kto szlachetny nie był obojętny;
 Dziś was rzucam; dalej idę w cień z duchami:
 A jak gdyby tu szczęście było — idę smętny.
 Nie zostawiłem tutaj żadnego dziedzica,
 Ani mojej lutni, ani dla imienia.
 Imię moje tak przeszło jako błyskawica,
 I będzie jak dźwięk pusty trwać przez pokolenia.
 Jednak zostanie po mnie ta siła fatalna,
 Co mi żywemu na nic, tylko czoło zdobi;

Lecz po śmierci was będzie gniotła niewidzialna,
Aż was, zjadacze chleba — w aniołów przerobi.

Takim był Juliusz w chwili, gdy go poznała Marya. A ona? Oto — zdaje się — wierny, duchowy i plastyczny jej wizerunek ówczesny. Oczy czarne, płonące ogniem południa. Włosy krucze, jedwabnemi zwojami do samych stóp spadające. W uśmiechu czar kwiatu lub powab motyla. Głos śpiewem przedziwnej harmonii wnikał do duszy. Lica podobne do alabastru ozłoczonego tchnieniem niewidzialnego, tajemniczego płomienia. Kibić wzniosła i wysmukła. Rysy wydatne, nos niekształtny. W ogólnem pojęciu o piękności kobiecej, prawie że brzydka, a przecież przyciągająca czarem ponęty, od piękności silniejszej; dziecko na pół jeszcze, a już kobieta; skromna, wdzięczna, choć świadoma swego powabu; często w poważnem zadumana skupieniu, to znów rozbawiona płochą wesołością dziewczęcia. Zdolna odczuwać piękno, lecz nie bez przymieszki sztucznych zapalów. W uniesieniach i zachwytach swoich szczerą, lecz dającą się powodować skłonnościami lub wpływami serca. Umysł więcej naśladowczy, niż samorodny i twórczy; trzeźwa i romantyczna zarazem. Adeptka sztuki, z obowiązku, pilności, ambicyi, nie z natężenia wyższej indywidualności duchowej. Dziecko cudowne; piętnastoletnia wirtuozka, grają swą w podziw wprawiająca słuchaczy, to też muzyka pozostanie najdoskonalszym zawsze wyrazem jej wrodzonych zdolności i talentu. Wszak sam Liszt później w oznakę swego uznania zegnie przed nią kolano. Harfa eolska, dźwięcząca pod naporem zewnętrznych powiewów, czule narzędzie, ale narzędzie tylko, cudzym palcom i nastrojom uległe. Oboje, ona i on, przy łatwości ozdobienia swych myśli, pragnień i marzeń, tęczowemi barwami wyobraźni, zdolniejsi do „czucia“, niż do „odczuwania“, urojenia swe w pozory prawdy oblekali. A któż nie wie, że nie tyle z pewnych analogij charakterów lub ze wspólności pewnych upodobań, ile przeciwnie z opozycyj duchowych wyradza się najczęściej namiętność. Oni zaś bawili się w literaturę miłości, wznosili, że tak rzekę, jej sceneryę. Te świetne dekoracyjne ramy nęciły ich oczy, schlebiali porywom ambicyi, powiedzmy nawet, próżności. Sztuczność rozpałała

głowy, rozdrażniła nerwy, nie mogła przejąć serca, ni owładnąć duszą. Juliusza przyciągnęły do Maryi te właśnie zewnętrzne strony życia, na które, w młodości zwłaszcza, zbyt się okazywał wrażliwym.

Że w tym różowym pryzmacie postać dziewczęcia cudownym poniekąd w jego oczach zajaśniała blaskiem, że olśnił go jej talent, oczarował tem ponętniejszy, że bezwiedny jeszcze czar niewieści, że zamarzył może przez chwilę o ustaleniu swego losu, że uwierzył, iż węzłowiec w życiu stanie mu się jedno serce kobiece, nie w tem przypuszczeniu nie widzę ani nieprawdopodobnego, ani uwłaczającego wielkiej poety pamięci.

Maryę nawzajem ująć musiało, że jej Słowacki pod stopy rzucał pierwiosnek swej młodej sławy, że za każdym jej spojrzeniem w jego ciemnych oczach błysnęło roztkliwienie. Ale gdy w biernej naturze urojonej kochanki, pod wpływem draśnieć, o których mi w dalszym toku opowiadania wspomnieć wypadnie, pierwotne, krótkie upojenie przemieniło się w niechęć, a nawet w długotrwałą, bo aż do śmierci urazę — w nieskończenie głębszej i potężniejszej jaźni twórey *Króla Ducha* uczucie na mocy sugestyi, w płomiennej wyobraźni wzniecone, stąd zaś pożarem zmysły i serce dopiero objawszy, bolesną rozterką ducha pomścić się musiało nad nieszczerością poczęcia swego.

W listach Juliusza do matki śledzić można ową gradacyę tonów, podnoszących się w coraz wyższych oktavach namiętnej fugi. Z początku panna Marya przedstawiona, jako brzydka i to bardzo.

„W tym miesiącu ¹⁾ miałem kilka wieczorów; wprowadzony byłem do domu pani Wodzińskiej, która tu mieszka z synami i dwoma córkami. Starsza, dorosła już panna ²⁾, ale bardzo brzydka. Gra ślicznie na fortepianie. Field, przebywający tu, daje jej lekcyę, to też gra zupełnie Fielda metodą, więc jej gra była mi bardzo miłą“.

Lecz niezadługo w powtórnej wzmiance o nowych znajomych, Marya, choć nieładna, „ma jednak wiele wdzięku

¹⁾ W marcu 1830 r.

²⁾ Marya liczyła wtenczas dopiero lat czternaście.

i dobrego serca“. W trzeciej mowa już o balu, mającym się odbyć w Warszawie, a na którym „każdy przywdzieje swój podróżny ubiór, a nawet swe grube trzewiki, w których laził po skałach“. Prawda, że między pierwszą a trzecią wzmianką rok cały upłynął. Odbyła się w tym czasie owa dwutygodniowa wycieczka w góry, której zawdzięczamy arcydzieło *W Szwajcaryi*. Już nastąpiło zbliżenie, już mistrz uwierzył, „że kocha i że jest kochanym“. Już coraz częściej z Pâquis, mimo smętne wyrzuty czulej, lecz zbyt podejrzliwej Eglantyny, wyrwał się do willi Beurivage. Już z Maryą pod cieniem lip spędzano godziny na długich rozmowach, przeplatanych lekturą. Powtórzyła się nieśmiertelna scena z *Boskiej Komedyi*. Tego dnia nie czytaliśmy więcej: *Qual giorno più non vi legemmo avanti*. I po trawnikach zrywano stokrótki, a gdy „różowe poróżniały sprzeczki“, to i między sobą w niezgodzie białe pozostawały listki:

»Jeden mówił bardzo, a drugi troszeczkę«.

Bądź co bądź, żyje tedy poeta w omamie złotego snu. Czuje, że wzbierają się w nim „wszelka moc i wszelkie dary“. Dowiadyuje się, że Chopin, ów w Paryżu wslawiony, oklaskiwany Chopin, nadesłał Maryi dedykowanego jej walca. Więc odrazu rozbudza się w nim talent kompozytorski. Nazajutrz i on przynosi swego walca: „A mówili wszyscy, że wcale nie gorszy od tamtego“. Wiadomo, że w niczem nigdy drugim nie ustępuje, choćby nawet w tańcu: „Obudziłem się rano, aby ten list ukończyć i odebrałem wizytę syna pani Wodzińskiej, który w imieniu swojej matki przyszedł zaprosić mnie na wieczór. Mają się znajdować na tym wieczorze wszystkie damy polskie, przebywające w Genewie. Więc na tym wieczorze zrobiono mi komplement taki, a bardzo ładne, różowe usta mówiły: „Znać, że pan z Wołynia, bo po wołyńsku tańczujesz mazurka“. „Ha, prawda — odpowiedziałem — że my, Wołyniacy, to dziarscy chłopcy?“

Próżność ta swoją naiwnością rozbraja. Zadowolenie z siebie, posunięte do śmieszności, nieraz nawet sprzeciwia się prawom etyki. Sądzi poeta, że oczy świata na niego zwrócone. Najdrobniejsze szczegóły dotyczące jego osoby, w jego

mniemaniu, podziw lub zachwyty wśród ludzi zawsze wzbudzić muszą. To też z lubością opisuje matce wrażenie, jakie jego strój alpejski wywołał u współtowarzyszki podróży. „Miałem płócienną bluzę, haftowaną zielonym jedwabiem, pas czarny skórzany, białe szarawary, kapelusz ze słomy białej i czarnej pleciony, dosyć niski, z ogromnemi skrzydłami i opasany purpurową wstążką. Do tego na grubej podeszwie trzewiki i kij, wyższy odemnie, biały z żelaznym kołcem, jakiego zwyczajnie górale używają. W ubiorze tym wyglądałem tak młodo, że mi dawano 15 lat wieku“. Gdyby był wiedział, że po pół upłynionym wieku na samo wspomnienie tego stroju Marya zwiędłe usta do szyderczego układała uśmiechu! Ta sama próżność zawsze, lecz jak tym razem niesmaczna, gdy w parę lat później przedwczesną śmierć Anieli Moszezeńskiej przypisywać każe zawodowi, doznanemu w skutek jego obojętności. „Ona mnie teraz widzi w niebie, bo już nie żyje. Choroby, z której umarła, nie zrozumieli doktorowie, a ja byłbym zanadto zarozumiały, gdybym ją memu zimnemu postępowaniu przypisywał“. Wyszukiwanie plam na słońcu — powiedzą niektórzy — być może. Próżność, ze wszystkich wad ludzkich, choć najmniej szkodliwa, najtrudniej jednak wybaczoną bywa, a to dlatego, że u każdego z nas najpowszedniejszą będąc słabością, staje się zawsze kamieniem obrazy, skoro posłużyć ma do wytknięcia przykładem drugich naszej własnej próżności.

Lecz dla Juliusza nastaly wtenczas krótkie chwile we wnętrznego ukojenia; rozkwitła w nim nieznaną dotąd świeżość uczuć, bo stopniowo sztuczny jego zapal dla Maryi przyoblekać począł pozory prawdziwej miłości. „Ja teraz — pisze — zmierzam do uspokojenia wewnętrznego. Zewsząd widzę, że ludzie bez zewnętrznej spokojności próżno się o wewnętrzną starają“. U boku ukochanej snują mu się jakieś błogie widzenia. On sam na sam z nią w zaczarowanym ustroju, gdzieś u stoku gór, wśród gajów wiśniowych. „Pójdziemy razem na śniegu korony. Pójdziemy razem nad sosnowe bory. Pójdziemy razem, gdzie trzód jęczą dzwony, gdzie się w tęczowe ubiera kolory — Jungfrau i słońce złote ma pod sobą“.

Ziściły się marzenia. Już bowiem w kwietniu 1834 r. donosi Juliusz matce: „Myślę na jakiś miesiąc wyjechać

w góry i osiąść w jakiejś chatce, aby widzieć chmury wiosenne; łamiące się po skałach, aby się napić pięknnością natury i mieć na długo serce, pełne myśli rozplywających się w Bogu... może w miłości, bo czyż Bóg nie jest miłością?" Czy on Maryę do swych projektów nakłonił, a ona myśl podaną matce wmówić potrafiła? Czy też owe rychłe spełnienie swych życzeń zawdzięczał laskawości losu, który często, choć go ślepym malują, a może właśnie dlatego, zakochanym pobłaźliwie służy i sprzyja? Dość, że w ostatnich dniach lipca liczna i wesola wyruszyła z Genewy drużyna. Oprócz rodziny Wodzińskich i ich domowników, brali w tej wycieczce udział bracia Miączyńscy, Gruszecki, nie wiem z jakiej racyi tytułowany generałem, Mr. Barselop z całym taborem sztalug, palet, pędzli i farb, no i... *à tout seigneur tout honneur*, poeta w swym wyżej opisanym stroju, bohaterski, rozpromieniony, gotów najniebezpieczniejszym alpejskim szczytom rycerskie rzucić wyzwanie. On sam staje się historyografem wyprawy. „Rano 31 lipca statek parowy ruszył z nami, rzucając na miasto kłęby czarnego dymu. Widziałem przemijające jeziora brzegi, pożegnałem oczyma Pâquis i Pâquis zniknęło“. Z Pâquis razem, choć tego nie dodaje, zniknęła na terasie, zdala, chustką w rękę żegnająca swego polskiego królewicza — Eglantyna.

Kolejno, przed wzrokiem podróźnych, przesuwać się poczęły czarodziejskie obrazy. Coppet z zamkiem, gdzie do dziś dnia podobno błądzi duch Corinny¹⁾, nieprzejednanej a nieustraszonej przeciwniczki wielkiego cesarza. Lozanna, cała biała, jak wychodząca z modrej fali nimfa, i Vevey, słynne ze swych po rozpiętych szpalerach rumieniących się winogradów, gdy znowu na przeciwnym brzegu ciemne sterzą skały ulubionego niegdyś schroniska autora *Nowej Heloizy*. Z Chillon, po zwiedzeniu zamku, obrócono drogę na Ville-neuve. W blasku słońca lipcowego zaledwie kilka tam wówczas złożyło się domków. W powozach, wynajętych u sławetnego p. Picard, właściciela zajazdu *Au Cheval Blanc*, gładkim torem wspaniałej dawnej drogi rzymskiej *Voie romaine*,

¹⁾ Corinna, bohaterka powieści pani de Staël, wygnanej przez Napoleona.

turyści podążyli do Bex les Bains, słynnych ze swych salin. „Szlismy podziemnymi korytarzami — notuje Juliusz — nosząc w rękach lampy żelazne“. Podobno, że lampa Maryi zagaśła. *La Vierge folle* — zawołał żartowniś, na co trafnie panienka odpowiedzieć miała: *Non, la Vierge sage, car elle saura toujours son heure.*

Podróż odbywała się dalej wśród bezustannie odnawiających się cudów przyrody. Na każdym niemal kroku widoki rozbudzały w duszach wielkie przeszłości lub teraźniejszości historyczne wspomnienia. Teraz droga wiodła po przez skały, które Hannibal na mulach wojsku przejść, a Bonaparte prochem rozsadzać kazał. Po obu stronach głązy jakby szczątki olbrzymiej cyklopów twierdzy legły, cielskami swemi przepaść zawałając; wzdłuż gościńca, białą wijącego się wstęgą, długim sznurem postępowaly za sobą powozy, muły, konie, w brzęku srebrzystym dzwonek coraz rzadziej napotykanych trzód. Nieraz też nieprzewidziane epizody urozmaicały wrażenia. „O wschodzie słońca spotkaliśmy w górach pogrzeb ubogiego człowieka — pisze Słowacki — a śpiew pogrzebowy nie mógł przewyższyć szumu potoków. Kilkoro ludzi i ksiądz stanowili orszak“. Lecz bywały także mniej nastrojowe, raczej niebezpieczniejsze spotkania. Od czasu do czasu, jak strachem gnane do swych kryjówek zwierzęta, okazywali się kretyni, niezrozumiale wydając pomruki. Zdarzyło się, że jeden z nich, śmielszy, czy ciekawszy, odzidielwszy się z gromady, przybliżył się do podróżnych, palcem wskazując na palące się w ustach jednego z nich cygaro. Podano mu więc przedmiot jego podziwu. Kretyn, z chciwością swą zdobycz schwyciwszy, rozpaloną stroną pospiesznie wsunął ją między wargi. Co nastąpiło, odgadnąć łatwo. Srodcze poparzony, nieludzkie wydając okrzyki, wpadł w jakiś wściekły, niepohamowany szał. W mgnieniu oka stojący w oddali towarzysze przyszli mu na pomoc i nuż gradem kamieni obrzucać podróżnych. Na szczęście były to strzały uciekających Partów. Więc w odległości i popłochu coraz mniej trafne razy, prócz chwilowego strachu, nie wyrządziły żadnej innej szkody. Tego samego dnia nad wieczorem turyści nasi, ujrzawszy przed sobą bramy klasztorne braci św. Bernarda, stanęli u kresu pierwszej etapy ich podróży. „X. Gwar-

dyan - opowiada poeta — w czarnym habicie stał na ganku. Pies ogromny leżał na dziedzińcu, jak z marmuru wykuty“. Za klasztorem lśniło oprawne w skalistym brzegu czarnoolowianego koloru jezioro. Słowacki, przebywający w tych latach kryzys niedowiarstwa, sądzi, „że miejsce, gdyby nie przez mnichów zamieszkałe, byłoby prawdziwie zachwycającem“, z mnichami zaś wszystko tu mu jakoś nie przypada do smaku. X. Gwardyan wydaje mu się był światowy, „zanadto się do dam uśmiecha, a zachowywanie się jego lepiejby się stósowało do zwyczajów dworu Ludwika XV“. Aż tak! Czyż miałby być o leciwego Ojca gwardyana zazdrosny? i czy rzeczywiście biedny mnich okazywał się takim *talon rouge* wobec płci pięknej? „Refektarz wygląda jak salon, a siedzące koło kominka towarzystwo śmiechem i żartobliwą rozmową odstrasza wszelką myśl wzniosłą i smętną“. Ależ ten refektarz gościł w swych murach z czterech stron świata zjeżdżających się turystów, najczęściej młodych, kipiących szumem radości życia, a po całodziennym spacerze po górach, żądnych używania hojnych darów bożych. Więc i teraz rozlegały sklepienia sali wesolym gwarem i śmiechem dwudziestoletnich biesiadników. Maryę w pustocie ducha napominali bracia, aby już z góry Wielebnego X. Gwardyana do Służewa lub *quo modo alio loco* na swój ślub zamówiła. Rozochociwszy się winem, Juliusz rozechmurzył się także. Po smacznym śnie, blask cudownego porannego słońca do reszty rozprószył czarne wczorajsze myśli.

I znowu w dalszej wędrówce mijały dni, krótkie, jak piękne sny. Z krain wiecznych mroźnych mgieł na wyżynach przeszli do zaczarowanego przybytku wiosny, do łąk i gajów, roztaczających się żywą zielenią u stóp Ghemi, po nad obłoki wznoszącego swe sine szczyty. Więc ku nim na nowo pięć się zaczęli ku górze. W niespełna trzy godziny posłuszne niestrudzone muły zawiodły ich na wieczne śniegi, by znowu staczać się w dolinę, gdzie tonąca cała w rubinach swych sadów wiśniowych, zaślśniła im przed oczyma śliczna, białością swych domków jak kwiatami wabiąca, dziś modna, jako zdrojowisko, Louèche. „Żadne opisy — woła w uniesieniu Słowacki — nie odmalują tej szmaragdowej zieloności, tych domów białych, które po niej są rozsypane, tej góry żółtego

koloru, tych gazowych obłoków, które się wieszają po jej szczytach. A ja to wszystko widziałem!“ Poczem jeszcze wdrapywano się na skały, skąd naprzemian świeciły niebieskimi refleksami nienaruszone śniegi, albo czarne wody dumaly nieruchome w surowem obramowaniu gładów; i jeszcze, jakby po przejściu jednego z kręgów piekielnych, roztwierały się przed podróżnymi uśmiechnięte elizejskie obrazy, gdzie drzewa łączyły swe konary, gdzie łąki kwietnym dywanem słały się pod stopy, gdzie nieopodal srebrnej, szumiącej kaskady, w złotych buków, w czerwieni wisien i róż wznosiły się ogniem szyb swoich w słońcu migocące domki. W jednym z nich na tydzień cały zatrzymała się strudzona drużyna.

Ach! najciekawszi na świecie nie zgadną,
 W jakim szalecie żyłem z moją miłą;
 I wiele nam róż do okien świeciło
 I wiele wisien naokoło rośło,
 Ile słowików na wiśniach się nosło.

Stąd w bliższe okolice odbywały się wycieczki: do grotty Tella, do wiosek, wspomnieniami pierwszych zapasów o wolność wslawionych. „Oto przed Tella kościołem pierwsza na kamień wyskoczyła płochą i powiedziała mi na głos, że mnie kocha“. Prawda! Powietrze górskie takie kryształowe, i tyle w górach szumiało potoków, i tyle w gajach śpiewało słowików, że łatwo mógł się poeta przesłyszeć. Łatwo także wśród tej czarodziejskiej przyrody w rozognionej fantazyi mogły mu się przesuwac złudne jak *fata morgana* widzenia. „Pod ścianą skał i pod wieńcem borów stoi cichości perła i kolorów — Tella kaplica. Jest próg tam na fali, gdzieśmy raz pierwszy przez usta zeznali, że się już dawno sercami kochamy“. A gdy w południe, w sadach, w żarnej niemocy oniemiały drzewa, czytawali razem w słodkim cieniu chłodzie. „Było to rankiem, pomnę, pod kaskadą; byliśmy niezem niestrwożeni sami, czytając książkę pełną łez ze łzami“. Odtąd, jeżeli wierzyć mamy poecie, już nigdy więcej nie czytali sami. Tym, jakby urwanym akkordem zamyka się symfonia. „Po odwiedzeniu kaskady — donosi Słowacki matce — damy nasze, zmęczone i przerażone podróżą po przepaścistych

górach, rzuciły nas i pojechały inną drogą do Lucerny; my zaś chłopcy, trochę smutni z rozłączenia się, trochę weseli z odzyskania wolności, poszliśmy pieszo przez góry“.

I tu dopiero na jaw wychodzi rażąca dysharmonia między w fantazyi wytworzoną, perlami poezyi całą roziskrzoną uczuciowością poety, a realizmem jego, że tak rzeknę, w negliżu przyłapanej codziennej prozy życia. Z jednej strony najcudniejszy śpiew miłosny, na jaki kiedykolwiek zdobyć się mogła liryka polska, burze, i dramat, i szal serca — *W Szwajcaryi, Stokrotki, Przeklęta, Rozłączenie* — to dla potomności; z drugiej, wobec najbliższej powierniczki pobieżnych myśli, wniosków i marzeń, jakaś szydereza obojętność, jakaś dezynwoltura — tragedia serca zredukowana do mało znaczącej przygody zwykłej miłości.

Zaraz po powrocie, oto, jakie lakoniczne daje matce sprawozdanie o wycieczce: „Towarzystwo to nie było tak przyjemne, jakbym je żądał, ale też nie było nieznośne, owszem, różnica charakterów podróżujących osób dobrą razem tworzyła harmonię. Najmłodszy z synów pani W. był naszym pajacem, ciągle nas śmieszył i bawił. Najstarszy, który niedawno stracił i pochował w grobie kochankę, był osobą melancholiczną towarzystwa; ja zaś, chociaż nie straciłem kochanki, byłem także osobą ponurą towarzystwa, nie zawsze jednak“.

Nawet, gdy na kilka miesięcy przed powrotem do kraju, Wodzińscy z willi Beurivage przenoszą się do Pâquis i gdy już pod jednym dachem poeta z ulubioną przebywa, nie okazuje zbytnej radości z tego zbliżenia. „W domu, gdzie mieszkam, zamieszkała rodzina Wodzińskich; będę miał nieco roztargnienia i hałasu nad głową“.

Gdzież więc prawdy szukać? Sądzę, że, jak z cnotą, znaleźć ją można *in medio*. Między tem sztucznem rozmiłowaniem w urojonej i wyidealizowanej kochance, a tą przed matką — poza — na zaledwie laskawą przychylność dla dość miłej tylko panienki, pozostaje właśnie miejsce na to dziwne uczucie, w fantazyi poczęte, tęczą wyobraźni ustrojone, które jednak na mocy tego żywego „odezuwania“, jednego z najwyższych darów poety, z mózgu do serca się przelać i na czas dłuższy jego całą istotą ovladnąć miało.

Gdyby zebrać kiedyś wszystko, co o „stosunku“ Maryi do Słowackiego i do Chopina wylęgło się w wyobraźni kronikarzy, utworzyłyby się całe tomy na temat: czy Marya Wodzińska natchnęła lub nie natchnęła Słowackiego? czy jej, lub nie jej zawdzięczamy poemat *W Szwajcaryi*? czy Marya Wodzińska była lub nie narzeczoną Chopina? Pamiętam, że jednocześnie prawie ze wzmianką o jej zgonie ukazał się w *Kuryerze Warszawskim* artykuł ś. p. Włodzimierza Zagórskiego, w którym utalentowany krytyk dowodził, że niesłusznie i zgoła bezpodstawnie przypisywano Maryi zaszczyt uosabiania owej rusalki, mającej „powozy z delfinów i kryształowe palace na głębi i księżycową koronę w noc ciemną“, że o niej nie myślał w swych tercynach poeta, że nie za nią tęsknił, pisząc: „Kiedy się myślą w przeszłości zagłębię, nie wiem jak sobie jej postać malować“. Ja zaś jak dawniej, tak i teraz mam to przekonanie, że gdyby Maryi nie było, gdyby w jej towarzystwie nie odbył Juliusz wycieczki „tam, gdzie się w tęczowe kolory ubiera Jungfrau“, nigdy nie byłby powstał poemat, albo też inną zupełnie byłby przyoblekł formę. Pozostanie bowiem ten żadnym argumentem niewzruszony fakt, że w tych wierszach wiernie się odzwierciedlają nietylko miejscowości, ale także wspólnie z Maryą wśród nich przeżyte epizody, a których z łaski boskiego natchnienia geniuszu stała się ona mityczną jakoby heroiną. Nie bowiem nie dowodzi preistoczenie się zwykłej śmiertelniczki w boginię; nie także, iż czarne w błękitne się tu zamieniły źrenice. Naprzód, ile razy ta przemiana się powtarza, prawie zawsze tłómaczyć się daje wymaganiami rymu, a następnie wiadomo przecież, iż rzeczą to zwykłą wśród rzeszy Apollina apoteozowanie wybranej istoty. Dante Alighieri za sobą do Raju wiedzie Beatricę, więc i w tym wypadku nie przedstawił nam poeta swej kochanki takiej, jaką w istocie była, lecz taką, jaką mu się w zaklętym czarze poezji być wydawała i jaką ją też istotnie w chwili najwyższego napięcia natchnienia widział. Zresztą nietylko kochankę, lecz samego siebie także tą samą przyodziewa cudownością.

Bom z duchy prawie zaczynał się bratać,
Chodzić po niebie i po niebie latać.

A przy tem wniebowzięciu poety, wraz z przedmiotem jego uwielbienia, ileż znowu jakby migawką uchwyconych chwil realnych wydarzeń? Młodzi Wodzińscy namawiają siostrę, by niespodziankę matce i towarzyszącej podróży sprawiając, ukazała im się w stroju góralki. Sami ją w błękitne chabry i szkarłatne przybierają maki polne. W następującym dwuwierszu Słowacki uwiecznił tę scenę.

I ustroiwszy się jak gór dziewica
Wybiegła do mnie. Myślałem, że padnę!



To znowu na polance, otoczonej złotych buków wieńcem, turyści dostrzegają naraz całe stado jeleni. Stoją niesplószone, jakoby rosą poranku i światłem skąpane. Starszy brat Maryi, który motyle w locie kulą przebijał, groził, „iż warto na jutrzejsze pieczyste rogacza kucharzowi dostarczyć“. Naturalnie między damami powstał okrzyk oburzenia. Juliusz poparł ich protesty, opowiadając przytem jakieś łowieckie wydarzenie na Wołyniu, w którym się był nadwyzwyczajną trafnością strzału między myśliwymi upamiętnił, bo „po wołyńsku“ strzelał, jak i tańczył mazura. W poezyi zaś tak się ów epizod przedstawił: „Pamiętam chwilę, poranek był skwarny, tameśmy szmerem splószyli dwie sarny; te jakby szczęścia ludzkiego świadome, stanęły blisko — złote, nieruchome i utopiły oczu błyskawice w kochanki mojej błękitne źrenice; i długo patrząc nieruchome obie, głowy promienne pokładły na sobie. Rzekłem: one się zakochały w tobie!“

I w kaplicy Tella zasiadł rzeczywiście rozbawiony Juliusz do konfesyonału. Przy kaplicy wznosiła się opuszczone siedziba, może kiedyś tajemnicze schronienie kochanków. Zastali w niej starca o długiej siwej brodzie, w długą pielgrzyma siermięgę odzianego. „Rzekła raz: Chodźmy do staruszka celi, może rozgrzeszy, może rozweseli, dłonie nam zwiąże i kochać ośmieli“.

Nie będę więcej przytaczał przykładów. Mylił się tylko czy łudził Juliusz, bo mylić się czy łudzić chciał. Jeśli czytawali razem, to niedowiedzionem wcale, choć możebnem zresztą, aby skutkiem lektury być miało, iż on ją „w usta rżane całował“. Jeśli Marya skoczyła na kamień, to pewnie

tak sobie, z własnej uciechy, a nie, aby mu powiedzieć na głos, „że go kocha“. A co do improwizowanej spowiedzi, to wierzymy, iż by ją był poeta chętnie usłyszał. Wspomnienia tej podróży na długo w smutną jego duszę wlały jasną smugę roztkliwienia wewnętrznego. Daremnie chce wmówić matce, że towarzystwo nie było takie, jakiego byłby sobie życzył. Tęskne jego słowa, gdy się ujrzał znowu osamotniony za powrotem, są wprost z tem pierwszym oświadczeniem w sprzeczności. „Nigdy — pisze niebawem w chwili szczerości — tyle cieniów przeszłości nie stanęło przedemną, jak w czasie tej dwutygodniowej wycieczki. Różne twarze znajomych i umarłych stawały po drogach i przeprowadzały mnie jak wierne przyjaciele, różne zapomniane piosenki cisnęły się do ust moich. Było mi smutno i miło!“ Smutno mu teraz bez czarnobrewnej panienci, smutno i pusto po ~~tym~~ długim codziennem z nią obcowaniu. To piosenka miłości cisnęła mu się do ust, zapomniana chwilami, lecz powracająca zawsze i ta sama. *On ne badine pas avec l'amour* — powiedział prawie że o tym czasie Musset.

Bo za tym zmysłem, co kochać przymusza,
Poszło i serce, a za sercem dusza.

Broni się jednak jeszcze. Dni mijają, a on unika spotkania z Maryą; lecz w listach do matki, gdy o Wodzińskich mowa, jakaś już miększa przebija nuta: „Sama pani Wodzińska bardzo dobra dama; córka jej ma wiele wdzięku i dobrego serca... Zajęty pisaniem, długo u nich nie byłem i wymawiali mi to zaniedbanie, które, jak u towarzysza podróży po górach, było dosyć dziwne, lecz ja w takich razach tłómaczę się zawsze chorobą spleenu i wolę uchodzić za dziwaka mglistego, niż za złe wychowanego“. Niedługo jednak i za „dziwaka mglistego“ uchodzićby nie rad. Coraz bywa częstszym gościem w willi Beaurivage. Zdaje się, że w tym samym roku (1834) zapisuje wiersz do albumu Maryi, nie zaś w następnym, jakby to z późniejszych zeznań bohaterki tego szkicu wnioskować należało. Wiersz ten stanowi rodzaj preludium do znanej stany z *W Szwajcaryi*: „Pójdziemy razem na śniegu korony“. Waryant tekstu w ostatecznym układzie wymowniej jeszcze stwierdza, że w Maryi, nie w żadnej innej,

należy upatrywać nimfę lodowatej groty. Sam Słowacki o genezie tego wiersza tak się wyraża: „Jestem wszakże i bez tego (spleenu) dosyć sentymentalną figurą. Mam czasem dziwne przecucia. I tak, panna Wodzińska zaatakowała mię niedawno, abym jej w sztambuchu kartkę białą nabazgrał. Zaraz przy stole usiadłem, umoczyłem pióro i płacziwe wiersze napisałem mojej towarzysze po alpejskich górach“.

Gdzie orły skrzydeł rozwianych żaloba

Rzucają cienie na leżące chmury,

O moja luba, tam pójdziemy z tobą.

A jeśli z takiej nie wrócimy góry,

Ludzie pomyślą, że nas wzięły duchy

I gdzieś w niebieskie uniosły lazury,

Żeśmy się za gwiazd chwycili łańcuchy

I ulecieli z plejadów gromadą.

I tylko po nas potok spadnie głuchy

I lez błyszczącą rzuci się kaskadą.

Tak przeszedł rok cały. W pierwszych miesiącach 1835 r. rodzina Wodzińskich przeniosła się do Pâquis. Teraz, pod jednym przebywając dachem, łatwiej przyszło młodym snuć dalej nie wątlą uludy i fantazyi. Wspomnieniem słodkich minionych chwil zakwitły później owe od zrywanych kiedyś razem na murawie o tyle żywsze i trwalsze „Stokrotki“.

„Miło po listku rwać niespełną stokroć i rozkochanych słów różaniec cedzić; miło przy ludziach było raz powiedzieć, że się kochamy i mówić po stokroć. Miło zabłądzić pod lipowe cienie z kwiatkami w rękę — i patrząc ukradkiem, wzajemnie mówić obrywany kwiatkiem: Kochasz!... i pani kochasz mnie szalenie... Gdy nas różowa poróżniała sprzeczka, a zgody ciągle zabraniały świadki, pamiętasz, luba, jak te białe kwiatki, jeden mówił: nie — a drugi: troszeczka. Dzisiaj samotny, dzisiaj bez nadziei błędząc po skałach, wszystkie moje smutki zbiegły się razem do białej stokrotki, co była siostrą stokrotek w alei. Rwałem ją: listki leciały w błękiecie aż na jezioro ze skały gdzie siedział, i wiesz, co listek ostatni powiedział? Luba, że jeszcze kochasz mnie nad życie“¹⁾.

¹⁾ Veytoux, 1835 r.

Zrywał tedy poeta listek za listkiem białe illuzye kwiatu szczęścia i marzenia. Wszelkie zwątpienia, przybłędne jeszcze chmury melancholii, rozpraszały promienie dwóch ciemnych gorących oczu, rozwiewał uśmiech ust różowych. Zapominał, że jutrem dla niego, to żal i cierpienie. Wpatrzony w zwodniczy blask rojeń, śmiał się na nowo dawno już zapomnianym dziecinnym śmiechem. Niby na pożegnanie, jedna po drugiej, całe w jasności tonące, miały doby. W czerwcu 1835 r. zwykłych swoich najpoufniejszych zaprosiła p. Wodzińska na podwieczorek, dany w domu po za miastem, gdzie była swoją najmłodszą umieściła córeczkę¹⁾. „Tam — wspomina Słowacki — ułożyliśmy, że kiedyś, jeżeli razem wszyscy będziemy w Warszawie, pani W. da bal kostyumowy, na który każdy z nas przyodzieje swój podróżny ubiór“.

W kilka dni później nowa wiejska zabawa. „Przyjechaliliśmy wszyscy czólnami na drugi brzeg jeziora, na obiad: całe towarzystwo ziomeków moich zasiadło pod wielkimi platanami u drewnianego stołu i ja z nimi“. W kuchni pobliskiego zajazdu wszyscy krzatali się koło rozpalonych pieców. Szwajcarki w kusych spódnickach ustawiały owoce, to znowu skubały drób. W sadzawkach łowiono ryby. Przywiezione w koszach butelki szampana, z trzaskiem złotych korków, lały jakby skroploną różową gazę w kryształowe czary. Potem ciskano kamieniami płaskimi po wodzie, potem grano „w zająca“, potem, gdy górale wędrowni w kobzy dać poczęli, tańcowano na murawie, a taka panowała pustota, że niektórzy panowie wobec dam zrzucili z siebie surduty i fraki. A kiedy nadeszła godzina powrotu, niebo pokryło się chmurami, jezioro burzą kołysane miotalo łodziami jak piłką; błyskawice wężami biegaly po śnieżnych górach, ale kropla deszczu nikogo nawet nie zmoczyła. „Słowem, ładny był spacer — kończy Słowacki swoje sprawozdanie — wesoly dzień: nikt nie zasmucił się i nie stetryczał bólem głowy, jak się to często zdarza, nikt nie lękał się gromu Boga, wszyscy pozostali razem aż do wieczora. Szczęśliwi ludzie, jeśli w terażniejszym czasie mogą razem doczekać wieczora. Wicher

¹⁾ Teresa Wodzińska.

rozmiata żółte liście i spotykającym się tumanom śpiewa zawsze piosenkę pożegnania“.

Zdaje się, iż wspomnienie o tej burzy odbiło się w zwrotce XIV-ej *Z Szwajcaryi*. „Czy ty gdzieś teraz, o miła! z rozpaczą aniołom boskim mówisz rozżalona? jak ci co mówią skarżąc się i płaczą, że była burza gromami czerwona, że była grota posępna i ciemna... że była trwoga w ciemności tajemna“.

Tę trwogę rzeczywiście fizycznym odruchem strachu odczuwał podobno poeta. Podług nieraz przezemnie słyszanego opowiadania Maryi, wśród grzmotów i gromów rozszałej przyrody Juliusz nie wyglądał wcale ani na bohatera, ani na piewę natchnionego. Przeciwnie, bladł, mienił się w oczach, trząsł się cały jak w febrze, jednym słowem bał się poprostu.

„Wicher rozmiata żółte liście i spotykającym się tumanom śpiewa zawsze piosenkę pożegnania“. Więc też mimo wiosny i długich dni letnich, jak nieśmiertelność promiennych, te dwa młode życia, igraszką losu przez chwilę do siebie zbliżone, miał już na zawsze oddalić wicher rozstania. I odezwała się smutna nuta rozłąki: „Mąż p. Wodzińskiej przyjechał po nią — pisze Słowacki — ma wkrótce porwać stąd całą rodzinę. Szczęśliwi! Wracają ułożyć się i pomieścić w domu rodzinnym na resztę życia, żenić synów, córki wydawać za męż. Zazdroszczę, choć takie szczęście podobne mi się wydaje do kwiatowego cmentarza, bo i nad cmentarzem chcę często powiedzieć — jak Luter — patrząc na groby: *Invideo quia quiescunt*. Zazdroszczę, bo cicho spoczywają. Czy też ja kiedy dojdę do przedśmiertnego spoczynku? Pamiętasz, mamó, te węże, które widzieliśmy kiedyś na moczarach pińskich, obwijających się koło lilij wodnych i grzejących się na słońcu? Chciałbym na rzecz żywota znaleźć taki biały kwiat, obwinać się koło niego i usnąć. To bardzo mistyczne i ciemne, matko moja. Lilia wodna niech się tobie zamieni w jaką miłą, spokojną, cichą dziewczkę, a rozumiesz pewnie moje żądanie... O! o! o! z takimi wykrzyknikami konają osoby w moich tragediach, z takim długim westchnieniem kona moja długa nadzieja. Piszę, jak gdyby mnie kto gonil, przekonany,

iż taki list, nosząc cechę mego terażniejszego usposobienia, najlepiej ci, mam, przedstawi mię w takim humorze, jakim teraz żyję: atmosfera imaginacyi, kraj przeszłości, wyspa ideału, przerżnięte rzeką łez. O, jakie to niemieckie! Ale dalibóg, prawdziwe! Panna Wodzińska, która z nami mieszka, także zapłynęła w kraj ideału, i o niczem nie marzy, jak o pustelniczym domku nad rzeką, o czarnej sukience, o lekarstwach dla chłopów, o topolach szumiących nad pustelnią, i nareszcie o spowiedzi, którą ma odbyć przed pewnym mnichem kiedyś. Tym mnichem kartuzem mam ja być *en personne*. Dowodzę jej jednak czasem, że jaki pan podkomorzy w krainie Lachów, dobrze opatrzony w szlachecką układność, talenta, wąsy i ostrogi, wybije z głowy pustelnicy domek, a ja nie będę mógł kartuzowem wspomnieniem zdobyć liliowej duszy dla aniołów. Młode nasze Polki zawsze przebywają bardzo piękne krainy marzeń, aby się kiedyś zamknąć i zakopać w najnudniejszej rzeczywistości“.

W tych słowach w równej mierze tęsknota łączy się z szyderstwem. A jednak on to, poeta, popłynął raczej w krainę ideału, ale na rzece marzeń, niestety, za nim nie popłynęła „ta cicha, miła dziewczeczka“. To też nie przed wyjazdem Maryi, ale dopiero gdy ją bezpowrotnie stracił z oczu, porzuca dom w Pâquis, ten dom, gdzie na każdym kroku wszystko mu przypominało chwile przy niej spędzone, a gdzie nagle nieznośnym, bo jakby urąganiem losu, stał mu się widok czulszej może, godniejszej zapewne jego miłości, lecz wobec świeżości tego na wpół rozwartego kwiatu wiosennego przewiedłej nieco, zazdrosnej, znieawidzonej Eglantyny. Przenosi się więc na drugi brzeg jeziora, do Veytoux, i tam z zakrwawionem sercem, a więcej jeszcze w uczuciu boleśnie dotkniętej miłości własnej, choć rozwianie swych marzeń i nadziei przypisuje, niesłusznie zresztą, intrygom panny Pattey, tworzy ów cały cykl poezyi: *Rozłączenie, Stokrotki, Przekłęta, Chmury, Do Laury*, który, wraz z najcudniejszym ze wszystkich poematem *W Szwajcaryi*, nazwaćby można „Cyklem Maryi“.

Brandes w swym więcej błyskotliwym, niż oryginalnym i pouczającym szkicu *O poezyi polskiej w XIX wieku*, taką o tym epizodzie z życia poety wzmiankę czyni: „Słowacki

kocha pannę Wodzińską, która mu się gorącą wzajemnością odplaca; zazdrość pożera pannę Pattey; wynikają z tego powodu sceny i rodzina Wodzińskich opuszcza Szwajcaryę“.

Ile zdań, tyle niedokładności. Jest to dowolne haftowanie na podanej kanwie tematu. Nigdy Marya gorącą wzajemnością nie odplacała poecie; dowodem tego jej własne zeznania, i przeciwnie, do końca życia zachowywana względem Juliusza jakaś, nie przynosząca jej zresztą wcale zaszczytu, niechęć. Gdy nadeszła godzina, w której młodzi Wodzińscy już bezpiecznie do kraju wracać mogli, opuściła cała rodzina gościnną wprawdzie, lecz zawsze im obcą „ziemię Helwetów“. Między Eglantyną a Maryą do żadnych scen nie doszło i dojść nigdy nie mogło. Szlachetność uczuć jednej, zbytnia młodość drugiej, dobre wychowanie obydwóch, wykluczało zgoła możliwość podobnych wystąpień. Eglantyna cierpiała wprawdzie, ale z żalu, jakim ją niewdzięczność ukochanego przejąć musiała. Nie szczędził jej bowiem Słowacki gorzkich wymówek; a o ileżby krwawiej jeszcze rozdarło się jej serce, o ile boleśniej zostałaby dotkniętą jej miłość własna, gdyby zrozumieć była mogła miotane na nią w pierwszym szale rozpaczy przekleństwa:

Przeklęta! Ty wydarłaś ostatnie godziny
Szczęścia mego na ziemi, ty żądłem gadziny
Wygnałaś na samotność. Bądź wiecznie przeklęta!
Každy jęk mój zna ciebie, każda lza pamięta!

Bo kiedy nieszczęśliwy zaklinałem ciebie,
Abyś mi dała nieco przyjaźni i ciszy,
Tyś mi lzy w powszednim podawała chlebie
I jęcząc, z jękiem w sercu mówiłaś: niech słyszy!

Cierpiałem i uległem. Dziś samotny jestem;
Lecz wiedz, że w samotności, okryty żalobą,
Oczy błędne obracam za każdym szelestem:
Czekam — ale nie ciebie, tęsknię — nie za tobą.

A nigdy serca mego nie umiała krwawić:
A tak się ze mną duszą i myślami dzieli,

Że już dziś sami boscy nie wiedzą anieli
Czy ją dla mnie potępić, czy mnie dla niej zbawić!

A ty, a ty, co lałaś żółciowe gorycze,
Skoro się otwierała serca mego rana,
O gorzej niż przeklęta — widmo tajemnicze
Zlej przeszłości — przeklęta bądź i zapomniana!

Jak dawniej tęczowemi barwami, tak teraz grozą tragiczności przybierał poeta idyllę. Powrócił on jeszcze, lub raczej po niego do Veytoux pospieszyła dobrotliwa Egerya. Wiedziała, że poeci często do rozkapryszonych dzieci bywają podobni. Słodka powaga, jasny hart duszy niewieściej zdołały ukoić rozpetane nerwy. Jej też postać, jako anioła opiekuńczego, powinna wznosić się nad grobem, gdzie spoczęło to tylu wichrami miotane serce za życia. Eglantyna miała mu pozostać wierną przyjaciółką do końca, bo gdy los ze skromnej panny Pattey uczynił później w najświetniejszych salonach paryskich znaną hrabinę Mayol de Lupé, nie wyrzekła się nigdy biednego polskiego wygnańca i z ostatniej pociechy uśmiechem pochyliła się nad śmiertelnem łóżem poety.

Lecz długo jeszcze wtenczas roztwierać się miała krwawa serca rana; długo jeszcze w listach Juliusza do matki odzywa się smętny *leitmotiv* pieśni tęsknoty. Nawet gdy opuścił brzegi Lemanu, i wśród fioletowych przełęczy Appeninu, i nad żółtymi wodami Nilu myśl o Maryi ciągle mu towarzyszy. W wycieczce z Potockimi z Florencyi przedsięwziętej, patrząc na rozsiane u swych stóp migdałowym kwiatem uwiecznione sady i gaje, przypomina sobie alpejskie doliny, gdzie ją był ujrzał „od śniegu na szczytach różową — różowszą“.

„Podróż ta — pisze melancholijnie — dziwne na mnie zrobiła wrażenie, przypomniła mi bowiem moją wycieczkę po Szwajcaryi. Coś było w gwarze tej licznej rodziny przypominającego mi rodzinę Wodzińskich, ale mojej młodej panienki czarnobrewej brakowało“.

Wtenczas to zapewne powtarzał sobie strofy „Do Laury“ :
„Dawniej bez serca, dziś bez rozumu, o biedna Lauro nim

zginę, tobie wśród głuchych pamiętek szumu, wianek Ofelii uwinę. Ty go drżącemi weźmiesz rękoma, jak wąż ci czoło okreści — Oto blawatka, ruta i słoma, a to są kwiaty pamięci“.

„Za cóż tak zimny nieczucia kamień na serce moje się wali? Żeśmy się kiedyś w kraju omamień na jednej drodze spotkali? Że cię tak długo dźwiękami lutni budziłem i do snu kładłem, a ty, smutniejsza niż ludzie smutni, biegłaś za innym widziadłem“.

„I coraz wyżej w niebo lecąca, niktęłaś w marzeń lazurze, i roztopiona w blasku miesiąca, zwiędłą rzuciłaś mi różę. Nie wiem, czy róża z twojego czoła, czy twoją skropioną leżką? Czy mi jakiego ręka anioła rzuciła różę niebieską“?

„Więc niech mię prędko chmury czarnemi porywa wichry nieości, bo już przekląłem wszystko na ziemi, wszystko — z aniołem przeszłości. Tam, gdzie tłum ludzi huczy, ucieka i falą powraca ciemną, nie mnie nie żegna, nie mnie nie czeka, nie za mną i nie przedemną“.

„Gdy bracia moi, gdy wędrownicy, lecieli szumem po niebie, ja nieruchomy, gwiazdą żrenicy patrzałem w przeszłość na ciebie. Dziewice ziemi nieraz postrzegły — łzawemi oka błękity, że oczy moje za tobą biegły, żem był na sercu zabity“.

„Okruszynami nikłej miłości karmiłem blade widziadła, ale łza taka, jak łzy przeszłości, na żadne serce nie spadła. Jak oczy moje topią się, mdleją, jak iskry sypią, jak łzami leją, ty wiesz — lecz tylko ty jedna“.

„A teraz smutny przeszłości echem, o ludzie, idę za wami; choć śmiech wasz dla mnie — szalonych śmiechem, łzy wasze — szalonych łzami; lecz gdy się znudzę leż zimnych rosą i zimnych uściskiem prawie, duszę mi od was wichry uniosą, lecz wichry pełne błyskawic“.

O ile rzewniejszym, bo ze źrójów szczerzego wzruszenia płynącym, jest wiersz, posłany Maryi aż z nad Nilu: „Kiedy smutny nad Tella siedziałem jeziorem, ty przyleciałaś do mnie z dalekiej krainy, jak przywabiony gołąb białością smutnego ptaka na pustym domu... i długo nas ludzie widzieli nad jeziorem dumających razem, nie wiedząc, żeśmy w toniach błę-

kitnych szukali gwiazdeczki szczęścia bardzo dawno utraconej. Nie wiem, czyś ją znalazła bezemnie, czy jeszcze smutną pod płaczącymi wierzbnami zastaje biały księżyc? O moja miła siostró duszy, jak ci zimno być musi... we wrześnie-
 wych nocach, oświeconej czerwonem światelkiem komina, w którym wilgotne płaczą gałęzie. W Szwajcarów ziemi, łuk dawno Tella, jaśniejszy niż słońce przez sześć miesięcy roku... Jam się bardzo zręcznie zimie, sypiącej na mnie śniegami, wywinął. Z toni błyszczy mi złoto... mógłbym tobie posłać zamiast zwiędłej rozmowy pod myślącym słońcem różę dziś rozwiniętą i świeżę... myślące. Lecz na co tobie różę, ty, co kwiaty wdowie rwiesz na łąkach i niemi ubierasz słomiany kapelusz“.

Jest to ostatni dźwięk pożegnalnej pieśni, której pierwszą nutą, pierwszą skargą — było *Rozłączenie*.

Rozłączeni — lecz jedno o drugim pamięta:
 Pomiedzy nami lata biały gołąb smutku
 I nosi ciągle wieści. Wiem kiedy w ogródku,
 Wiem, kiedy płaczesz w cichej komnacie zamknięta.

Wiem, o jakiej godzinie wraca bólu fala,
 Wiem, jaka ci rozmowa ludzi lżę wyciska.
 Tyś mi widna, jak gwiazda, co się tam zapala
 I lżę różową leje i skrą siną błyska.

A choć mi teraz ciebie oczyma nie dostać,
 Znając twój dom i drzewa ogrodu i kwiaty,
 Wiem, gdzie malować myślą twe oczy i postać,
 Między jakimi drzewy szukać białej szaty.

Ale ty próżno będziesz krajobrazy tworzyć,
 Osrebrzać je księżycem i promienić świtem:
 Nie wiesz, że trzeba niebo zwalić i położyć
 Pod oknami i nazwać jeziora błękitem;

Potem jezioro z niebem dzielić na połowę,
 W dzień zasłoną gór jasnych, w nocy skał szafirem;
 Nie wiesz, jak włosem deszczu skalom wieńczyć głowę,
 Jak je widzieć w księżycu odkreślone kirem.

Nie wiesz, nad jaką górą wschodzi ta perelka,
 Którąm wybrał dla ciebie za gwiazdeczkę-stróża;

Nie wiesz, że gdzieś daleko aż u gór podnóża,
Za jeziorem, dojrzałem dwa z okien światelka.
Przywykłem do nich, Kocham te gwiazdy jeziora,
Ciemne mgłą oddalenia, od gwiazd nieba krwawsze;
Dziś je widzę, widziałem zapalone wczora,
Zawsze mi świecą — smutno i blade — lecz zawsze...

A ty wiecznie zagasłaś nad biednym tulaczem;
Lecz choć się nigdy, nigdzie połączyć nie mamy,
Zamilkniemy na chwilę i znów się wołamy,
Jak dwa smutne słowiki, co się wabią płaczem.

Każdemu — wiem — znane te wiersze, perły rozsiane wśród
rozlicznych i różnorodnych klejnotów w skarbcu duchowym,
stanowiącym spuściznę wielkiego poety; ja pierwszy związa-
łem je tu na nici drogocennego naszyjnika, by nim ozdobić
pamięć tej, dla której zostały kiedyś zebrane.

A wiem także, iż później z tych cudnych więzów po-
została za dotknięciem bolesna tylko, roztwierająca się rana.
O uszy Juliusza odbijają się wieści, że jego czarnobrewa Ma-
rysia swą rękę oddała Chopinowi. Więc odzywa się w nim
jątrzący sarkazm wzgardzonego i zapoznanego rywala; słowa
jego zaprawione żołącią i goryczą szyderstwa: „Mówią — pi-
sze on pod datą 22 lutego 1838 r. — że się Chopin z Ma-
ryą Wodzińską a niegdyś moją Maryą ożenił. Może poszła
za niego trochę z miłości dla mnie, bo utrzymują ludzie, że
Chopin do mnie jak dwie krople wody podobny. Jak to sen-
timentalnie pójść za człowieka podobnego temu, którego się
pierwszą miłością kochało. Stałość i niestałość harmonizują
z sobą w takim zdarzeniu, a podług Swendeborga, już w nie-
bie nie z dwóch, ale z trzech dusz zrobi się jeden anioł po
śmierci. Ale w tym przypadku niech Marysia na mnie nie
liczy. Wolę się do innej jakiej światłej istoty w niebie przy-
łączyć; dla niej dość Orfeusza. Skrzydła tego anioła będą
z siedmiu pedałów, a z klawiszów rąbki. Miło mi tylko, że
nie zapomniała mego walca“.

Zgrzytem i złudzeniem kończy się ten dramat, bo wale
bodaj czy nie w imaginacyi poety tylko istniał, a właściwiej
mówiąc ta tragicomedia, której poszczególne sceny stara-
łem się tu odtworzyć. Ale teraz zachodzi jeszcze pytanie,

jaką w niej Marya właściwie odegrała rolę? Zadanie do rozwiązania dość zagadkowe i zawile. Nie ulega wątpliwości, jak to już wyżej zaznaczyłem, że ta autosuggestya miłości, powoli w duszy poety zamieniająca się w prawdziwą czułość i cierpienie, dla Maryi, cheiwej wrażeń, lecz na pół dzieckiem jeszcze będącej, stanowiła rodzaj tem ponętniejszej, że nieznaney dotąd zabawy. Boć ostatecznie w tem miłosnem intermezzo wszystko nie polegało jedynie na urojeniu. Na nikłym, prawda, wątku porozrzucił Juliusz iskrzące skarby poezyi i fantazyi, ale ten wątek istniał. Marya ani mocno, ani nawet krótko nie kochała poety, nie była jednak obojętną na okazywane jej dowody podziwu i uwielbienia. Pochlebiać jej musiało, jej szczególnie, wychowanej z pojęć i tradycyi w kulcie wszelkich objawów wyższości duchowej, że młody a głośny już poeta rzucił jej pod stopy pierwsze rozkwitłe róże swego natchnienia; hołdy więc a może nawet wyrazy żywszego uczucia przyjmowała z wdzięcznem wzruszeniem dziewiczego lecz tkliwego serca.

„Że gdy ich różowa poróżniała sprzeczką“, zgody, im nieproszone a nawet niedostrzeżone zabraniały świadki, dowodem ten pocałunek, złożony na jej warkoczach, a który nie uszedł bacności młodszej siostry ¹⁾ Maryi, ukrytej w kącie salonu. Było to letnim wieczorem. Na werandzie przysłuchiwał się jak zwykle z papierosem w ustach przedziwnej grze młodziutkiej muzy milezący Napoleonida. Wtem drugimi drzwiami wpada do salonu Słowacki, kieruje się ku Maryi, zgina kolano i ciemne ciężkie jej sploty włosów do ust przyciska.

Według późniejszych opowiadań niemego świadka tej sceny, który siostrze długo w sercu przechował tajemnicę, tak zaskoczona Marya, odwróciwszy się, uśmiechem oddarzyła snąc że oczekiwanego i miłego gościa. Być więc może, iż zabłądziwszy z nim pod lipowe cienie, „listek po listku zrywała stokroci“; być może, że w grocie Tella wykraść sobie dała, lub nawet zamieniła z przyszłym Kartuzem — pocałunek. A z drugiej strony, wobec możliwych tych przypuszczeń,

¹⁾ Józefa Wodzińska, późniejsza pani Augustowa Kościelska, matka Józefa Kościelskiego.

jak sobie tłómaczyć ten fakt nieraz stwierdzony, że do ostatnich dni życia ta sama Marya, uosobienie słodyczy i wyrozumiałości, z oburzeniem przeczyła, iżby jej serce mogło kiedykolwiek wzajemnością odplacać się pocię. Odzywała się o nim z cierpkością, tak przeciwną jej naturze, z lekceważeniem, nie licującym wcale ani z kulturą jej umysłu, ani z winnem poczuciem czci, należnej zawsze dla geniusza. Przeciwnie, nigdy nie wyparła się swej pierwszej miłości dla Chopina. Widzę ją jeszcze wiekiem pochyloną, jak jej starością potargane lica bladły pod wpływem wzruszenia, jak w długiej, smutnej pograżała się zadumie, ilekroć pod jej palcami zabrzmiał fortepian wdziękami nieźrównanych nokturnów, bohaterskich polonezów lub nieśmiertelnej sonaty. Nim wyświełtę różnorodność tych dwóch uczuć, oraz najprawdopodobniejszą przyczynę jej niechęci względem Słowackiego, podam tu w całości list, w którym po raz pierwszy i ostatni, dopiero na kilka lat przed śmiercią poruszyła drażliwy temat rzekomego swego „stosunku“ do poety. Wielokrotnie od biografów i kronikarzy nawiedzana, odpowiadała stale: „Na cóż zgasłe już iskry wygrzebywać z popiołów“. Na moją prośbę wyjątek zrobiła dla p. Biegeleisena. Oto dokument, jaki mi udzieliła pod datą 2 stycznia 1893 r.:

„Zbyt pochlebne zdanie o moim wpływie na twórczość Słowackiego odeprzeć muszę. Ci, co o nim dotąd pisali, dając folgę własnej fantazyi, utworzyli z Maryi W. jakiś poetyczny obraz, który przy świetle prawdy pewnie zblednie. Niektóre daty tu są potrzebne. Urodziłam się 1819 r.; zatem w epoce naszej znajomości ze Słowackim miałam lat 15, a tak byłam jeszcze obarczona lekcjami, że nie miałam czasu zastanawiać się nad życiem, tem bardziej jaki bądź wpływ wywierać. Nie zwracałam uwagi nawet żeby Słowacki był mną zajęty, jak to później twierdzono. Opuścił Genewę na parę miesięcy przed naszym wyjazdem, przy pożegnaniu mówił wprawdzie o żalu i tęsknocie. Powiadano mi potem także, iż wyjechał dlatego, że Eglantyna Pattey, późniejsza hrabina de Lupé, była o mnie zazdrosną. Bardzo mnie to zdziwiło, bo ja nigdy ładną nie byłam, a Eglantyna, piękna i rozumna, stała się rzeczywiście jego Opatrznością. W owym czasie Słowacki jeszcze nie był sławnym: druko-

wane były dopiero pierwsze trzy tomy poezyj i *Kordyan*, które jakkolwiek zawierają piękne ustępy, wiele niżej jednak stoją od dzieł późniejszych. Wyznać nawet muszę, że nam się poeta wydał trochę śmiesznym i zarozumiałym, chcąc się mierzyć z Mickiewiczem. Jeden tylko mój brat Antoni broił go, mówiąc: „Wy się później dowiecie, co on dziś już czuje w sobie, że jest wielkim poetą“. Jedyłą pamiątkę, jaką posiadam, jest wiersz, który nie wiem, czy kiedy był drukowany. Jest to improwizacya. W salonie mojej matki zbierało się niemal codzień liczne towarzystwo. Czas naszego powrotu do kraju się zbliżał, więc rozstanie z temi dobreimi, przyjaznemi osobami na zawsze. Jednego wieczora, mając mały album z luźnemi kartkami, rozdawałam je z prośbą, aby mi co na nie napisano. Jedną z takich kartek podałam Słowackiemu: on się namyślił i przeszedł do drugiego pokoju, gdzie stało biurko mojej matki. Widzieliśmy, gwarząc dalej w salonie, jak chodził przez kilka chwil, poczem zasiadł przed biurkiem i pisał. Gdy do nas wrócił, wiersz przeczytał; wszyscy byli zachwyceni“.

Otóż wyznać muszę, iż pomimo nuty skromnej prostoty, ten list nie wydaje mi się zupełnie szczerym. Przebijają w nim aż nadto widocznie później w duszy Maryi powzięte *parti pris* wyparcia się jakiegokolwiek przychylności lub skłonności uczuć dla Juliusza. Pomijając pewne niedokładności, n. p. twierdzenie, jakoby Słowacki na parę miesięcy przed nią opuścił Genewę — czemu zresztą zaprzecza zaraz drugi ustęp: „Czas naszego powrotu do kraju zbliżał się, a z nim rozstanie“ i t. d., albo też wzmianka o ukazaniu się w r. 1835 trzech tomów poezyj i *Kordyana*, kiedy wiadomo, że wydane zostały dopiero w Paryżu 1836 r. — mam wrażenie z treści tych słów, że Marya usiłuje ukryć przed drugimi to, o czem sama zapomniećby rada. Powtarzam: nie kochała nigdy, ani mocno, ani krótko poety, ale uległa chwilowo jego czarowi. Serce tkliwe, rozogniona wyobraźnia, dusza na wskrós romantyczna, poddać się musiały urokowi geniuszu, czarowi poezyi, choć nie potrafiły zawsze ani należycie odczuć, ani ocenić głębi i polotu tego natchnienia. Gdy nas zapewniano, iż tak była obarczona lekcyami, „że nie miała czasu zastanawiać się nad życiem“, wierzymy jej na słowo, boć

tego zresztą nikt od piętnastoletniego dziewczęcia nie wymaga. Wiemy skąd inąd jednak, że o tę panienkę, tak lekcyami obarczoną, oświadczał się w tymże samym czasie wicehrabia de Montigny, konsul francuski, zamieszkały w Genewie; wiemy, że dawny przyjaciel lat dziecińczych, dzisiaj już sławny Fryderyk Chopin, dedykuje jej walca: *Et maintenant, je prends la liberté d'offrir à Mlle. Marie...* wiemy, że występowała na koncertach w celach dobroczynnych i że na nim oddawano jej holdy, nietylko należne wirtuozce, ale dorosłej lub za dorosłą w oczach wszystkich uchodzącej pannie. Więc dla czegoż to wyparcie się zaszczytu, który bądź co bądź na nią spływał z wyróżnienia okazywanego przez jej wielkiego poetę? Dlaczego ten flirt genewski — by użyć najwłaściwszego wyrazu do określenia tego stosunku — zamienił się w stałą, nieprzepartą nigdy niechęć, a nawet odrazę? Do rozwiązania tej psychologicznej zagadki posłużyć mogą dwa równoważne czynniki w duszy niewieściej. W każdej kobiecie tkwi w większej lub mniejszej świadomości odziedziczone od pierwszych matek rodu ludzkiego poczucie zależności czy należności, kiedy to jaskiniowcy towarzyszkę życia zdobywali sobie w walce, na podobieństwo wilków i odyńców. Stawszy się łupem zwycięzcy, kobieta w swym władcy głównie siłę wielbiła. Ani grecka, ani łacińska pogańska kultura nie zatary w niej tej cechy. Przyszedł chrystyanizm, który niewolnicę zamienił w służebnicę ogniska domowego. A w dawnej Polsce każda córa szlacheckiego domu przy tem chrześcijańskim wyświęceniu stanu małżeńskiego odczuwała także pokorę branki, kiedy to na kobiercu z bijącym sercem oczekiwała łaski pana swego, jakiegoś krymskiego chana lub murzy. Stąd też może polska nazwa „kobiety“ — kobiety, oddanej na śmierć i życie towarzyszowi doczesnego, dozgonnego życia, dumnej, że przynosi i poświęca mu w ofierze dziewiczość swoją, kwiat nieskalany duszy i ciała, że białość swą liliową oddaje częstokroć w zamian za zbrukane strzępy czerstwości, siły i mocy fizycznej i moralnej. Tak stało się i z Maryą. Gdy jej sercem owładnęła prawdziwa miłość, ta, która ogarnia zmysły i duszę, gdy powierzyła rękę człowiekowi nad wszystkim i nad wszystkimi ukochanemu, poczytywując so-

bie niewinną idyllę wiosny życia jako grzech i skazę, zapragnęła zatrzeć nawet o niej wspomnienie w duszy.

To jedna przyczyna. A druga, mniej wzniosła, lecz jakże ludzka — miłość własna. Jeżeli dla pamięci Chopina zachowała Marya do śmierci kult, z czułym uwielbieniem graniczący, to dlatego właśnie, iż wspomnienie o mistrzu, ta jego miłość czysta i promienna pozostały jakoby snem przepięknym, śpiewem, urwanym akkordem cichego wyrzeczenia. Owa może tylko legenda o paczce listów, czarną wstążką na krzyż związanej, z tym prostym a tak wymownym napisem: „Moja bieda“, jakąż tkliwą litością musiała napelnić jej serce. O ileż inaczej ze Słowackim? On ją dotknął i zranił w najdrażliwszych strunach dumy kobiecej. Przecież później, bądź pośrednio ze zwierzeń i listów poety do matki, bądź też przez drugich — co więcej upokarzające jeszcze — dowiedzieć się musiała, że ta cała miłość tylko igraszką była, dowiedziała się o tej niedyskrecyi, o tem lekceważącym zdradzaniu obopólnych uczuć. Więc tego mu też nigdy darować nie mogła. I to usprawiedliwia poniekąd ową w głębi serca żywioną do końca urazę.

A teraz jedno jeszcze przypuszczenie. W papierach po Maryi znalazłem kartkę owego szarego papieru, powszechnie używanego przez dziadów naszych. Na niej, znamienem jej pięknem, ale jeszcze niewyrobinem, na pół dziecinnem piśmie, wiersze, w których widoczne są ślady wpływów literackich Juliusza. Nie będę tutaj powtarzał tego utworu, bo choć Marya do podeszłej sędziwości zawsze muzom hołdować lubiała, niestety, najczęściej o tych próbach wyrzecby można to, co kiedyś Słowacki powiedział o flecie:

Jeżeli go weźmie człowiek muzyki nieświadom,
Piersi utraci i uszy sfalszuje sąsiadom.

Wspominam o tym wierszu dlatego, iż z treści sądząc, wydaje mi się możebnem, że kiedy Juliusz — czy w skutek nalegań Eglantyny, czy też napomnień ze strony matki Maryi — przeniósł się do Veytoux, między „rozłączonymi“ odbywała się jakaś wymiana myśli, uczuć i natchnień. Wtenczas zrozumiałym także okrzyk poety do Eglantyny: „Lecz wiedz, że w samotności odkryty żalobą, oczy błędne obracam za każdym

szelestem. Czekam — ale nie ciebie, tęsknię — nie za tobą“. Czy więc nie do niego zwrócone zwrotki, o których wspominam? „O miałam sen przedziwny“. Czy nie Juliusza miała Marya na myśli, pisząc: „On cały myśli potęgą, świat obejmuje ramiony, on szybkim lotem sokola ziemię okrąża dokoła“? Albo czy nie aluzję do przeszkód, które świat między nimi wznosił, upatrywać należy w następujących słowach: „Bo gdzie kruszec serce przytłumi, któż wie-szcza kiedy zrozumie!“ Całość fakturą — o ile nieudatne próby do arcydzieł porównywać się godzi — przypomina powstałe w owym czasie i Maryi także poświęcone *Chmury*.

„Do was chmury — wzrok ponury — skrå i łzami — sam na ziemi. Pod czarnymi chmur wiankami, jak duch trumny smutkiem dumny, nad szmer domów trzymam skronie. Tam w koronie chmur i gromów, gdzie wam droga, chmury Boga, mnie weźńiecie; bo ja ciemny, mgłą tajemny, sam na świecie, tam za wami, gdzie wichrami burza kręci, łzą do łzawie, do błyskawie skrå pamięci, lecę, błyskam, skrami ciskam, jutro zmarły: patrzcie na mnie, żyjcie za mnie, ludzie karły! Tu wam, ludzie, na ziem grudzie, mogił grędy gdzie chmur droga, z wichrem Boga — mnie tamtędy!“

Lecz czy przypuszczenie moje uzasadnionem, czy nie .. godniejszą zawsze Marya pozostałaby samej sobie, gdyby, darując znikome urazy ludzkie, w sercu zachowała była pamięć wdzięczną dla tego, który ją bądź co bądź w promień swej nieśmiertelności przyodził na wieki. Prawda, że w owej wczesnej dobie życia swego był Słowacki poetów polskich jeszcze „pawiem i papuga“. Lecz prędko nastąpiły dnie odrodzenia. Wyolbrzymiał, duch nabrał hartu i blasku. A wśród tego widział się poeta wyzutym z wszystkiego, co nam umila i uprzyjemnia wędrówkę doczesną. Nie zaznał ani wzajemnej miłości, ani męskiej, niezłomnej jak stal przyjaźni, ani upojenia sławy, ani tego spokoju, którego nam zażyć dają dobrobyt i dostatki. Zszedł samotny z tego świata, jak słońce, pogrążające się w piaskach pustyni.

Sądę, że na równi z nami, a więcej od nas jeszcze, bo przez niego wybrana, powinna była Marya o tem zawsze pamiętać.

A. W.

(Ciąg dalszy nastąpi).

O MARYI WODZIŃSKIEJ.

(Ciąg dalszy).

Los w wiecznej swej ironii w niwecz obraca, choćby najprawdopodobniejsze przypuszczenia ludzkie. Jednem psonem swem tchnieniem burzy często całą wiałą ich budowę. Bo oto w tymże czasie, kiedy świat i ludzie dotychczas wężem połączyli dwa serca Fryderyka i Maryi, oni po raz ostatni stanęli wobec siebie. Ostatni raz zespoliły się ich dłonie, ostatni raz zetknęły się ich spojrzenia. Przy końcu września 1836 r. Chopin podążył z powrotem do Paryża. Marya, na wzór i podobieństwo romantycznych średniowiecznych dziewic, dalej snuła nić złotą marzeń w odrestaurowanej świeżo służewskiej siedzibie. Kochała i była kochaną. W szumie ciemnych lasów, ze szmerem mieniących się w barwach jesiennych, złotych drzew, z gwarem odlatujących żórawi, grała dla niej pieśń weselna szczęścia jutrzejszego. Więc z tą pieśnią w sercu spieszyła teraz na odbyć się mający w Warszawie ślub jej brata Feliksa z ową Łusią¹⁾, o której tak często w listach wspominają obydwie siostry Fryderyka. Było to niejako preludjum do ich własnej dusz symfonii; albowiem w tym samym czasie powstaje ów cudny Nokturn *h-dur*, jak noc letnia przejrzysta, w srebrnej poświacie miesiąca skąpany, wonią uśpionych kwiatów przepojony.

¹⁾ Łucya Wolicka, córka Konstantego i Augustyny de Ker-messon.

Dotąd listy zamieniają się regularnie. Z Paryża szle Fryderyk album dla Maryi, na którego pierwszej kartce skreślił tylko te wyrazy, tyle drogich wspomnień upamiętniające: *Marienbad 1836*. W zamian też na rue de la Chaussée d'Antin, jeszcze z Drezna, spieszy pismo zbiorowe, matki Maryi, jej samej, i najmłodszego jej brata Kazimierza:

„Kochany Fryderyku — pisze p. Wodzińska pod datą 14 września 1836 r. — Podług naszego układu, przesyłam na twoje ręce list do pani Nakwaskiej; już to od dwóch dni byłabym zrobiła, gdyby nie ząb, który wyjąć sobie kazałam po twoim wyjeździe, w skutek czego bardzo cierpiałam. Odżałować nie mogę, żeś odjechał w sobotę; w dniu tym byłam niezdrowa, nie mogłam się dość zająć szarą godziną. Krótko o tem wszystkiem mówiliśmy. Nazajutrz byłoby dłużej. Girardin powiada: *En toute chose le lendemain est un grand jour. Nous l'avons devant nous*. Nie myśl więc, abym już odwoływała to, co mówiłam — nie, ale trzeba było naznaczyć drogę, którą iść wypadnie. Dotąd cię tylko prosić będę o milczenie. Zachowaj się zdrowo: wszak to od ciebie zależy. Kazio przyjechał w niedzielę: jakże go znalazłam innym od czasu, jakem go nie widziała! Jeśli w Czechach powietrze jest napelnione opium¹⁾, to tam... tam (w Polsce) niezawodnie szalejem. Jakaż to perspektywa dla Maryni! Kto wie, jaką za rok będzie? Józję tu zostawiam z panną Mallet, a z wiosną znowu przybędę i znowu do wód się udam. Jeżeli Bóg da, że Antos zdrów wróci (z Hiszpanii), gdzie zaciągnął się jako ochotnik w legii generała Ramonet, zachęcaj go do pracy i niech się uczy. Teraz nie mu przesłać nie mogę, bo — jak Kazio mówi — ojciec najbogatszy w prowincyi i musimy wszyscy żyć stósownie do tego. Dobrze to jest, ale podług mnie źle, aby jedno z dzieci z tego powodu cierpiało. Skoro przybędę do Warszawy, to na twoje ręce przeszlę Antosowi co będę mogła. A teraz proszę cię, jeżeli masz o nim jaką wiadomość, to udziel mi tejże. Ja tu jeszcze od dziś

¹⁾ Alluzya do dni spędzonych w Marienbadzie, którą można dwuznacznie tłómaczyć — albo upojeniem między Maryą a Fryderykiem zamienionych miłosnych zwierzeń, albo sennem życiem miejscowości kuracyjnej.

dwa tygodnie bawić będę, a na 15 października stanę już w Warszawie, bo na ten dzień ma się ślub Feliksa odbyć. Będę widziała rodziców i siostry twoje; powiem im, żeś zdrów i wesół, choć o szarej godzinie nie wspomnę. Bądź jednak pewny mojej ku tobie przychylności; lecz dla dopełnienia mego życzenia i wypróbowania tych uczuć, trzeba koniecznie ostrożności. Adieu! Kładź się spać o jedenastej, a do 7-go stycznia używaj jako napój *de l'eau de gomme*. P. Matuszyński się ze mną zgadza, a na przyszły sezon okazesz się w Marienbadzie lub Franzensbrunn, niczem nasz przyjaciel Skórzewski. Bądź zdrów, kochany Frycku; błogosławię cię z duszy, jako kochająca cię matka.

T. W.“

„P. S. Marya przesłała ci pantofle przez Germange. Są trochę za luźne — ale dodają — takie są, abyś wełniane nosił pończochy. Tak zalecił Paris ¹⁾ — a wnoszę, że będziesz posłuszny, wszakżeś obiecał? Wreszcie zważ, że to jest czas próby“.

Te serdeczne, prawdziwie macierzyńską troskliwością bijące wyrazy, opatrzone są następującym dopiskiem Maryi:

„*Nous ne pouvons nous consoler de votre départ; les trois jours qui viennent de s'écouler nous ont paru des siècles. Pensez vous de même? Regrettez-vous un peu vos amis! Oui, n'est ce pas? Je répons pour vous, i myślę, że się nie mylę; przynajmniej potrzebuję w to wierzyć. Powiadam sobie, że to oui od ciebie przychodzi — bo prawda, nie inaczej byś powiedział? Pantofle skończone, posyłam je. Co mnie martwi, to, że są za duże, chociaż dałam twój trzewik, *carissimo maestro*, na miarę — lecz jak to zwyczajnie u Niemców. *Le docteur Paris* pociesza mnie, twierdząc, że będą pasowały, bo musisz pan zimą nosić ciepłe pończochy wełniane. Mama dała sobie wyrwać ząb, co ją bardzo osłabiło. Dotąd w łóżku pozostać musiała. Za dwa tygodnie jedziemy do Polski. Zobaczę twoich rodziców. Jakaż to radość dla mnie! Czy też mnie pozna kochana Ludwika. *Addio, mio ca-**

¹⁾ Rozbitek wielkiej armii, lekarz wojskowy, który, pczostawszy w Służewie, stał się domowym doktorem rodziny.

rissimo maestro; n'oubliez pas maintenant Dresde et dans peu la Pologne. Adieu! Au revoir. Ah! si cela pouvait être au plus tôt.

Marie“.

„P. S. Kazio mówił mi, że fortepian służewski tak jest rozstrojony, że ani sposób grać na nim. *Ainsi pensez à Pleyel.* W szczęśliwszych czasach, niż dzisiejszych — to się ma do nas stósować — *j'espère vous entendre sur le même piano. Au revoir, au revoir, au revoir!*“

To już nie wypracowanie sumiennej, przykładnej pensyonarki. W tych wyrazach drga życie, czułość przemawia — wprawdzie z pewną nutą praktycznej sentymentalności niemieckiej. Dla wybranego — *Gretchen* powiedziałyby: *für meinen Schatz* — haftuje się pantofle. A i Fryderyk długo jeszcze, jak o tem wspomina pani George Sand w *Mémoires de ma vie*, marzył tylko o wsi polskiej, o łąkach złotem zbożem falujących, o chatach kmiecych, o szumiących topolach. Zapowiedział swój powrót do Drezna. Kto wie, może i nad Wisłę za kochanką podaży, bo i tak można zrozumieć słowa Maryi: *N'oubliez pas Dresde et dans peu la Pologne.* Ona zaś, dla skrócenia dni oczekiwania, rysuje z pamięci portret mistrza, najpodobniejszy podobno ze wszystkich jego wizerunków. Fryderyk dziękuje rozczulony. Listu tego brak, jak tytu innych; za to przechowała się odpowiedź Maryi i jej matki, w przeddzień wyjazdu z Drezna kreślona. Widać z tych kartek, że p. Wodzińska swe projekty mężowi zakomunikować musiała, lecz że nie znalazły uznania. Stąd też zapewne przebijająca w jej słowach nuta żalu i zniechęcenia: „Na mnie się o ciebie wiele osób krzywi i kredyt przez ciebie stracę“. Jest to alluzya do bankiera drezdeńskiego Kaskla, który podług mu danych instrukcyj, nie liczącej się nigdy z groszem damie odpowiada grzecznie, stósownie do formuły: *J'ai donné ordre*, choć czekać trzeba, aby ów *ordre* zamienił się na dobrą brzęczącą złotą monetę.

„Mój drogi Fryderyku! Wdzięczną ci jestem za doniesienie mi cokolwiek o Antosiu, a i Marynia twój list odczytuje. Wczorajszego dnia odebrałam twój list i przyznam się, że tylko za nim oczekiwałam. Pojutrze wyjeżdżamy i za dni 12

staniemy w Warszawie. Uściskam za ciebie twoich rodziców i siostry. Pisz do nas ile razy tylko czas ci pozwoli. Adresuj: *Herrn Adolph Gall - Thorn* ¹⁾ p. Berlin, tak wszystkie listy zwykle odbieram. Proszona jestem, abym ci poleciła Byczkowskiego malarza, któremu stąd wyjechać kazano. Mało go znam, ale zdaje mi się, że to dobry człowiek, a co najwięcej za nim przemawia - nieszczęśliwy. Uważałam z listu twego, że tylko przyrzekasz święcie dopełnić rozkazów moich: kłamiesz... bo mi nic nie piszesz, ani czyli wełniane pończochy do pantofli nosić będziesz, ani czy przed jedenastą spać się kładziesz. Tylko już pani Nakwaska, zarówno jak i Kusznel donosili mi, żeś skłamał. *A propos* Kunzel już wrócił; dąsa się, żeś u Kaskłów nie był. I na mnie wiele osób się o ciebie krzywi; kredyt przez ciebie tracę. Tak to na tym świecie. Marynia prosi, abyś pantofle nosił, a jeżeli jaką okazję znajdziesz, o nowe romanski, które zapewne na Nowy Rok, jak deszcz, padać będą. Mój Boże! czy tylko ja do Paryża, tak jakbym chciała, przybyć będę mogła. Józia ²⁾ dosyć spokojnie spogląda na nasz wyjazd, ciesząc się już myślą naszego powrotu, bo obiecuje sobie z niego wiele. Nie wiem, czy interes Antosia załatwię, bo jak powiadam: źli na mnie o ciebie, i tyle tylko Kaskel odpowiada na wszelkie moje odezwy: *J'ai donné ordre*. Z Warszawy do ciebie napiszę. Teraz powtarzam, abyś się ochraniał, a wszystko się dobrze ułoży. Pani Ossolińskiej ³⁾ ukłony od nas. Brat jej tu tylko na dzień jeden przybył. Panna Mallet kłania się ślicznie, o Grzymałę pyta, nieszczęśliwa to *passion!* Portret twój tak znajdując podobnym, iż Marynia twierdzi, że to jej reputację artystyczną ustali. Zrobiła także portret ciotki swej wojewodziny i metra śpiewu Cicarellego, bo tak o to prosił, a wszystkie nadzwyczaj podobne. Wracam do Byczkowskiego: skoro go zobaczysz, nie zapomnij

1) Poczta była na miejscu w Służewie, ale widocznie chodziło, aby do czasu większą w korespondencyi zachować tajemnicę.

2) Druga córka, która miała pozostać w Dreźnie na dalsze kształcenie.

3) Zofia Ossolińska, Chodkiewiczówna z domu, dawna dobra znajoma z Warszawy i Genewy.

powiedzieć mu, że ja do ciebie pisałam i że przez to już go znasz. Izalka Plater prosiła mnie, abym w jego interesie napisała do ciebie, a wiesz, ile ja ją kocham, może na równi z moją Marynią. Tereska często cię wspomina; mówi: *bien des compliments pour Szopena*. Panna Mallet, Józia, Marya, wszystkie ci się ślicznie kłaniają; Kazio i Parys także, a ja ściskam cię najczulej. Szara godzina.

Drezno, 3 października.

T. W.“

Marya tylko kilka słów dołącza.

„Dziękuję za autografy, proszę o więcej: to mama tak pisać kazała. Teraz jak najspieszniej jedziemy do Warszawy. *Combien je me réjouis à l'idée de revoir toute votre famille, et l'année prochaine, vous... vous!* Kazio bardzo wiele nam opowiadał o Łusi ¹⁾ — *et malgré tout ce que vous pourriez dire, puisque vous êtes d'un avis contraire*, znajduje, że do mnie podobna. *Cela me flatte beaucoup, car on la dit très bien. Adieu jusqu'à l'an prochain; en mai ou juin au plus tard. Je recommande à votre souvenir votre fidèle secrétaire*“ ²⁾.

Fryderyk nie zapominał — dotąd przynajmniej — o niej. Zajmie się niezwłocznie wyborem żadanego fortepianu u Pleyel'a i wysyła go morzem do Gdańska, skąd go polskie furmanki gościńcem toruńskim już do samego Służewa dowiozą. Nie zapomina także o tym zawsze mu gorąco polecanym Antosiu. Błądny rycerz, który przed laty krew młodą na wszystkich pobojuwiskach ojczyźnie niósł w ofierze, teraz niepokojem i nieuleczalną tęsknotą swej wrażliwej, gorącej duszy gnany, opuszcza Paryż, wszystkie jego pokusy i więzy, przyjaciół, ukochanego Frycka, szukając nowych przygód aż w Hiszpanii, pod sztandarami młodocianej królowej Izabelli i tam, bohaterstwem wsławiony, szarżując na czele swego szwadronu pod Huesca, obdarzony krzyżem Karola i gwiazdą Ferdynanda, serce matki napelnia dumą i trwogą zarazem. Już w wyobraźni widzi umiłowanego, pierworodnego

¹⁾ Mowa tu o Lucy Wolickiej, narzeczonej Feliksa Wodzińskiego.

²⁾ Siebie samą.

syna, któremu zresztą, jak i matce, pieniądz się w rękę pali, w niedostatku, przymierającego niemal z głodu, pozbawionego opieki. Na szczęście tak źle nie było. Chopin pozostaje z nim w ciągłej łączności, więc też listem, datowanym z Paryża dnia 1 marca 1837 r., szle uspokajające o nim wieści.

„Najlaskawsza Pani. Posyłam list z Pampeluny przez Antosia podpisany. Wziąłem się na sposób pani Dilles i szczęśliwie jakoś się udało. Osnowa tego listu zdaje się że przyspieszyła odpis; a dzięki Wincentemu Skarzyńskiemu może pani się przekonać, że Antoś ten sam co zawsze, że go kochają, że o nim pamiętają, że mu dobrze, o ile dobrze być może, że nie sam“.

„Niecierpliwie tego listu oczekiwałem, a tymczasem państwu zeszedł czas na błogosławieństwach, bo Feliks już po ślubie, a ślub się wesoło i suto odbył, i tańcowano, i zdrowie spełniano, w parę dni wizyty oddawano, przyjmowano i t. d., i t. d. Czemuz nie prawda o tych zwierciadłach wszystko przedstawiających, o tych pierścieniach przenoszących tam, gdzie myśl zasięgnie. Widziałbym to wszystko i swoich rodziców dopytujących się o mnie. P. Byczkowskiego jeszcze niema, przyjmę go jak tylko będę mógł najlepiej. Germange mi pantofelki odniósł: prawdziwie papieskie... na papieski użytek! Pannie Maryi za dawnem wyrażeniem naszym: „Bóg zapłać!“ Bawię się nimi, jak dziecko — ale nie noszę — i panna Marya nawet niech tego odemnie nie żąda“.

„Szczęśliwym, że mój list dzisiejszy jest tylko kopertą Antosiowego; inaczej niewieleby sam przez się pani powiedział — przynajmniej co do treści i ilości rzeczy. Dziś jakoś mi nowinki pod pióro leżeć nie chcą — Wszystkich Świętych! Jednakże autograf Antosia i pani Antolowej¹⁾ ratują mię. Nie przysyłam tym razem innych sekretarzowi, bo się boję listu obciążać. Ku zimie z nutami razem nadejdą. Pani Zofia²⁾ zawsze państwa kocha i z prawdziwą uciechą wspomina. Cicholo³⁾, mój terażniejszy sąsiad, często o panią się dopy-

1) Nakwaskiej.

2) Ossolińska.

3) Cichocki.

tuje. Mój flakon i dywanik także mi o państwu mówią, a ja gamą odpowiadam. Czemuż to już dwunasta? O dwunastej trzeba na lekcję śpieszyć — i tak do szóstej — a potem na obiad, a z obiadu na wieczór i w świat do jedenastej — jak panią szanuję, nie kłamię, tylko o kuchni polskiej marzę i gram zawsze o szarej godzinie. Niech pani będzie łaskawą i słówko rzuci mi na pocztę, bym wiedział, że list Antosia doszedł.

Najprzywiązańszy — *F. Chopin*“.

„Sekretarzowi proszę powiedzieć, że się niezmiernie cieszę, że pisać nie zapomniał, że się spodziewam, że nigdy nie zapomni, że, że... i t. d. Pani Łucyi ¹⁾ *mes respectueux hommages* — co do Feliksa, pewnie go dziś nie obchodzą wszelkie ludzkie przypomnienia się. Kazia ściskam, a Teresi, prócz mego rączek ucałowania, niech panna Marya będzie łaskawą, wytłómaczyć, że *Szopena* melancholizuje za nią i co małe dziecię zobaczy, smutnie wykrzykuje: *Non pa sa, pa sa, u è le peti Teres ki e si žentil*. Wszystkim u państwa zdrowia, w Służewie, w okolicy, jako też i w Dreźnie“.

Zima zaczęła się dla pań Wodzińskich spokojnie w zamku służewskim, listy z obydwóch stron regularnie nadchodzą. Pod datą 25 stycznia 1837 r. pisze znowu p. Wodzińska:

„Mój poczciwy Frycku. Odebraliśmy dawno twój list, a wkrótce paczkę z nutami, za którą ja dziękować nie będę, ale połaję. Jakże można było posyłać *Kaepsacke*! Również o fortepianie pisząc, nie donosisz, ile ci przysłać. Prosiłabym cię również o doniesienie nam, gdzie do Gdańska zaadresowany, bo wyrachowałyśmy, że gdyby tylko Gall ²⁾ był stamtąd uwiadomionym o nadejściu instrumentu, natychmiast bym stąd furę wysłała do Gdańska. Tylko 25 mil ze Służewa — zatem przed wiosną jużby tu być mógł. Tu u nas smutno bardzo od powrotu naszego z Warszawy. Nigdzie krokiem nie ruszyliśmy się, ani też nie miałyśmy dużo gości. Młodzię, to jest mąż mój, Feliksowie i Kazio, jeżdżą i hulają,

¹⁾ Łucya z Wolickich Feliksowa Wodzińska.

²⁾ Kupiec zbożowy w Toruniu.

bo proszę wierzyć, że i w naszej okolicy bywają bale, koncerty i przedstawienia teatralne. My tylko — starzy — to jest Marya i Teresia, pędzimy dni samotne na zamku, a zegar mocniej niż kiedykolwiek bije godziny i przypomina nam, że to już czas spoczynku lub pożywienia, bo innych rozrywek mieć nie możemy, w braku fortepianu, ołówków, nowych książek etc., etc. *A propos* ołówków, Terenia przesyła ci własnoręczny rysunek i dodaje... *faire bien des compliments*. Pozostaje mi jeszcze ciebie prosić o doniesienie, czyli p. Dzierżyński nie znajduje się w Paryżu, lub czyli tam nie był, a gdzie teraz być może? To mecenas z Warszawy, ale że 1000 franków przy nim pozostało jednej biednej osóbkki, dla tego tak się troskliwie o niego dopytuję. Autografy przedziwne ¹⁾, przypisek Heinego i d'Arincourt szczególnie mi mile, również bilecik Custine. Ostatni mój list nie wiem, jakim był, ale że ci nic w nim nie wspominałam o nikim, to może z tego powodu, iż widziałam się zmuszoną prędeż ci go odesłać, niż zamierzałam. Tak często bywa. Skoro tylko zjawia się leśniczy, to wołają: spiesz się, bo o trzy mile poczta. Tak właśnie i dziś się dzieje. Nie będę już miała czasu odczytać, czy głupstwa jakiego nie napisałam. Pani Glińska ciągle jeszcze w Dreźnie z córkami. Józia również oczekuje mię tam, lecz nie wiem, kiedy ja się wybrać zdołam. *Adieu*, drogi mój Frycku.

Szczerze cię kochająca T.

Jak zwykle, znajduje się i dodatek do listu, ręką sekretarza kreślony:

„Mama połajała, a ja dziękuję, ślicznie dziękuję! A jak się zobaczymy, to jeszcze ładniej podziękuję. Znać, żem bardzo leniwa do pisania, bo to odłożenie do zobaczenia się zwalnia mnie od wielu słów na teraz. Mama opisała tryb życia naszego, więc mnie już nie nowego nie pozostaje do doniesienia, *si non qu'il dégèle; grande nouvelle, n'est-ce pas et très importante à signaler! Cette vie tranquille que nous menons ici, est celle qu'il me faut, voila pourquoi je l'aime,*

¹⁾ Widać, że Chopin dotrzymał obietnicy, ale ani listu jego ani autografów nie ma śladu.

pour le moment, car je ne voudrais pas que cela durât toujours ainsi. On prend son parti le mieux que l'on peut, quand il ne saurait en être autrement. Je m'occupe de lectures pour tuer le temps. Mais il faut finir et vous recommander à Dieu. J'espère que je n'ai pas besoin de vous répéter l'assurance des sentiments de votre fidèle secrétaire“.

W wyrazach tych zdaje się znowu powracać nuta ceremonialnej konwencyonalności. Gdzież się podzielała owa niecierpliwość serca przeszłego listu, zdradzająca się w trzykrotnym wykrzykniku: *Au revoir! au revoir! au revoir!* Cóż się stało w tej przerwie czasu? Czyż powątpiewać rzeczywistości mamy o szczerości i sile tego przywiązania? Czy rozsądek przeważał nad chwilowym popędem uczuć? Czy wobec przedstawień najlepszego i najczulszego ojca, sumienie poszanowania woli rodzica wzięło górę nad głosem serca?

Stopniały śniegi i lody; nowem kwieciami pokryła się ziemia pod ciepłem technieniem wiosny, lecz w jej powracających promieniach nie odżyła wiara w cudowną potęgę miłości. Nie ziszczyły się zapowiedzi radosnych nadziei. Marya nie spotkała się już więcej z Fryderykiem. Ostatni jego list nosi datę 14 sierpnia 1837 r. To nie zakochany pisze, raczej przyjaciel i to znudzony nieco powierzoną mu rolą opiekuna i pośrednika — bo młody Wodziński nie opuścił jeszcze Hiszpanii, przeciwnie, ranny, więc wypada strapioną matkę uspokoić i pocieszyć, choć widać, że się przed przyjacielem młody wojak użalać musiał, iż o nim zdają się zapominać w domu, gdyż w liście Fryderyka jakoby dyskretne w tym względzie napomnienie.

„Bojąc się, aby najlaskawszej pani ktoś z boku złego nie doniósł, wolę list Antosia z 3-go tego miesiąca posłać, żebyście państwo z jego własnego pisma wiedzieli co robi. Nie pisałem, że pod Huesca został lekko w nogę ranny, bo to było jeszcze w maju i wolałbym powiedzieć, jak trwożył pismem. Ale kiedy się inaczej stało i ta mucha może się do państwa dostać jako słoń ogromna, przyłączam do mego, jego najpóźniejszy list, w którym donosi, że już zupełnie zagojona rana. Z tegoż listu widać także, że ma zamiar powrotu i to za te trzy tysiące, które 9-go b. m. na ręce bankiera Leo

odebrałem, a w dzień nadejścia przyłączonego tu Antosiowego listu, to jest 10-go, do Logrono przez Rotschilda posłałem. W Logrono znajduje się wiele naszych, a szczególnie zastanie tam poczciwego Woronieckiego. Będzie mu raźniej, a jeszcze raźniej, jeżeli mu pani albo panna Marya parę słów na moje ręce przeszła, bo, jak panie widzą, w tym liście skarży się, że nikt do niego z domu nie pisuje, mimo to, że zawsze i za każdym razem mu o państwu donoszę, ile razy mam sam wiadomości. Ostatni list pani doszedł mnie w Londynie, gdzie przeszło miesiąc przemarudził. Myślałem, że ztamtąd przez Hollandyę pojedę do Niemiec, ale wróciłem do domu; pora się późni i dla mnie zapewne się spóźni zupełnie, czekam mniej smutnego listu od pani, jak ten ostatni; może mój przyszedł będzie tylko przypisaniem się do Antosiowego. Zawsze najprzywiązańszy

F.“

W tych chłodnych wyrazach listu mieści się zdanie na pozór nie wiele znaczące, w którym jednak da się streścić cały dramat tego stosunku: niby preludium do smutnego finału „Moja bieda“. „Pora się późni i dla mnie zapewne się spóźni zupełnie“. W myśli mistrza słowa te odnosiły się najprawdopodobniej do zaniechanej projektowanej wycieczki. W rzeczywistości brzmiały one niby akkordem wiecznego pożegnania. Tak, spóźniła się dla niego na zawsze pora tego szczęścia i spokoju, o których zamarzył u boku ukochanej dziewczyny. Poszedł inną drogą, nie tą jasną, wśród białych kwiatów sadów wiosennych, gdzie było orzeźwiający źródło dozgonnej miłości, ale przez odurzające swą wonią żarne, purpurowe gaje rozkoszy. Między nim a Maryą, na wieki stanęła postać Lelii. Czemu dał się tak łatwo zwać i osiedlić? Czy czar zmysłowy silniejszymi więzami zdradliwej pokusy opętał miękka naturę jego? Czy w ostatniej rozstrzygającej chwili nie poczuł w sobie dostatecznej woli do zwalczenia przewidywanych trudności? Czy w niewierności „wierność“ to uczucia, pełnęła go w objęcia tej, z którą Marya miała tyle cech wspólnych podobieństwa fizycznego: tą samą płonącego alabastru cerę, te same czarne, cudne oczy, te same włosy krucze, jak atlas lśniące, ten sam uśmiech,

a nadewszystko ten sam czarowny dźwięk głosu. Daremne dociekania. Nikt już tej zagadki nie rozwiąże. Wiadomem tylko, że w tym właśnie czasie, kiedy z mocy zamienionych obietnic, spotkawszy się z Maryą, miał Fryderyk z nią, za wspólną rodziców zgodą, wspólne w przyszłości rozpocząć życie, on jednym spojrzeniem, jednym gorętszym pocałunkiem „kobiety o czarnem oku i czarnej duszy“ zdobyty — *femme à l'oeil noir, à l'âme noire*, powiedział o niej Musset — legł u jej stóp, oddając w jassyr całą męskość i całą twórczość swoją.

Wieści o poddaniu się mistrza pod jarzmo słodkiej a śmiertelnej ponęty, niebawem aż o brzegi Wisły obić się miały. W tem szukać też należy powodu tego smętnego tonu listu matki Maryi, w tem samej Maryi oziębłości. I tu przychodzi mi wytknąć ową pomyłkę, więcej nawet, ową krzywdę — przez wszystkich bez wyjątku biografów Chopina — Maryi Wodzińskiej wyrządzonej. Bo nie po jej stronie przewinienie, nie po jej stronie złamanie danego słowa. Pierwszym uczynionym jej przedstawieniom nie poświęciła bynajmniej ukochania swego. Długie cztery lata zachowała swą wiarę, wierząc i oczekując mimo nadziei. Nie w r. 1837 bowiem, jak wszyscy dotąd głosili, ale w r. 1841 dopiero, kiedy już dawno Chopin zerwał był nawet i pisemne stosunki z rodziną Wodzińskich, zawarła Marya małżeńskie śluby. Sądzę więc, iż tym jednym faktem zbijają się wszelkie wyżej wyliczone zarzuty. To jedno zadosyćuczynienie poczuciu sprawiedliwości — a drugie: obowiązek, który mi się narzuca, oczyszczenia pamięci ojca Maryi z uwłaczających jego charakterowi insynuacyj. Niesłusznie go bowiem i mylnie sądzono, przedstawiając w roli tyrana domowego, zaciętego w swej bucie, ograniczonego, a co gorsze, pyszałkowatego i dwulicowego pół-panka. „Widać, że do tego miłością ściśle zespoleonego kółka rodzinnego — pisze Karłowicz — ojciec nie należał“. W innym zaś miejscu dodaje: „O ile w tej sprawie pani Wodzińska wydaje nam się szczerą, zącą, serdeczną, o tyle jej mąż niesympatyczny i dwulicowy“. Przeciwnie, nie było czulej umiłowanego ojca, nie było lojalniejszego, wyrozumialszego człowieka. Długo jego wspomnienie żyło we wdzięcznej pamięci współczesnych. Nazwać go można do-

brym duchem, kamieniem węgielnym, na którym się opierała cała budowa i świetność bytu rodzinnego. Mądrość i powagę łączył z nieprzebraną dobrotliwością serca. Umiał być hojnym i zabiegliwym zarazem. Typ zamaszystego szlachezca karmazyna przekształcił się w nim na wytworną uprzejmość i gościnność laudlorda. Prawda, że niektóre w listach o nim wzmianki własnej żony, obcych w błąd wprowadzić mogły. Lecz w tem stadle ona to raczej, nie on, zbytnią się zawsze dawała powodować wrażliwością. Romantyczna, trochę *bel esprit*, trochę *bas bleu*, tkliwa, choć hołdująca hasłom racjonalizmu Encyklopedystów, nie rachująca się z przeciwnościami bieżącej chwili, rozrzutna, od dzieciństwa przeświadczona o swem uprzywilejowanem stanowisku bogatej dziewczyczki, w przystępie złego humoru lub rozdrażnienia nie rachuje się zbyt często ze słowami. Stąd jej nieusprawiedliwione zgoła przytyki do męża: „Bo jakkolwiek mówią o nim, *qu'il est le plus riche de la province*¹⁾ i że musi żyć odpowiednio, ja twierdzę, że dać własnemu dziecku przymierać z głodu“.

To wszystko dlatego tylko, że bankier na pierwsze wezwanie, by miał w fundusze zaopatrzyć ukochanego syna, odpowiada: *J'ai donné ordre*. To jej nie wystarcza. „Żli na mnie — skarży się — i psują mi kredyt“... Ale to przejściowe tylko chmury w zgodnem i przykładowem skąd inąd małżeńskiem pożyciu. Do zasadniczego rozdźwięku, z przyczyny ustanowienia przyszłego losu dzieci, między rodzicami nigdy nie doszło. Nigdy też ojciec Maryi nie wyrzekł tych słów, godnych pyszałkowatego jakiegoś parweniusza: „Póki żyję, córki nie wydam za grajka“. Były one wręcz w sprzeczności i z jego charakterem i z jego umysłowością. Zbyt wysoko Chopina

¹⁾ Majątek Wodzińskich, czyli rodziców Maryi, oprócz dość znacznych kapitałów, składał się na owe czasy z następującego kompleksu dóbr ziemskich: miasto Służewo z przyległościami, dobra Bogusławice, Goraj i Nasiegniewice pod Przedczem; dobra Sulkowo, Siemnowo i Siemnonek pod Brześciem Kujawskim, wieś Włoszyce niedaleko Nieszawy, dobra rycerskie Zeszyn i Zeszynek, w Księstwie Poznańskiem położone, czyli razem obszar, około 16.000 morg polskich wynoszący.

cecił, jako człowieka i artystę. Znał go przecie i kochał od dziecka, tem więcej, że widział w nim najserdeczniejsze, najżyyczliwszego przyjaciela swych synów. Być może, iż pomimo to, związku tego sobie nie życzył. A gdyby nawet przemawiała w nim duma czy ambicya rodowa, ani się temu dziwić, ani go z tej przyczyny potępiać nie znalazłbym powodu. Kierowały nim zgoła inne, z doświadczenia i znajomości życia wypływające pobudki. Córki najczulszą otaczając miłością, pragnął przedewszystkiem, aby po zamążpójściu nie oddalały się z kraju. A wiedział, że wydanie jednej z nich za słynnego, ogólnoswiatową cieszącego się sławą kompozytora, równałoby rozłączeniu się z nią może już do reszty życia. Bo czyż przyszłość i rozwój jego genialnego talentu nie zależały od osiedlenia się Fryderyka za granicą, szczególnie zaś w Paryżu, w tem wszechludzkiem ognisku artyzmu i sztuki? Drugi, nie mniej ważny powód obaw, stanowiła troska o zdrowie przyszłego zięcia. Troskliwy a przezorny ojciec nie wierzył empirycznym lekoms, zbawiennym skutkom *Eau de gomme*, albo ciepłych wełnianych pończoch. Śmierć przedwczesna mistrza dowiodła, niestety, jak uprawnionemi były obawy. A jednak śmiem twierdzić, że mimo to, nie byłby się nieublaganie sprzeciwiał wyborowi córki, nie zadalby gwałtu jej sercu; przyjąłby do domowego ogniska zięcia, jakiego mu los czy Bóg był naznaczył, gdyby ten wybrany był sam do szczęścia swego dążył całemi siłami jestestwa swego, całą potęgą postanowień, z całą wolą i wiarą, kruszącą na drodze swojej, wzniesione zapory. Ale dusza Chopina w codziennych sprawach życia nie dorównała potędze jego ducha twórczego. Nie umiał, czy nie chciał chcieć. Nie dążył *per fas et nefas* do celu. Sprzeciwiała się temu jego tkliwa, przerafinowana, prawie że kobieca natura. Cierpiał w życiu, lecz nie zdając sobie sprawy, że to cierpienie wypływa z braku męskiego hartu, z niedostatecznego napięcia strun energii. Lubiał, aby mu się wszystko bez zgrzytów, harmonijnie układało w życiu. Nie on do miłości, lecz miłość do niego dojść była powinna. A czy rzeczywiście takie nieprzewyciężone między nim a Maryą stały się przegrody? Przecież oczekiwała go długo, przecie, gdyby gorąco, niezłomnie posiąść ją był pragnął, łatwa względnie do niej

prowadziła droga. Powrót do kraju nie był mu wzbroniony. Ze sławą artyści zwykle i najwsteczniejsze rządy rachować się muszą. Zresztą w przypuszczeniu nawet nieublaganego ostracyzmu, czyż nie pozostawał pobliski Służewa, Toruń? Lepiej jeszcze: czyż po drugiej stronie rzeczulki Tażyny, stanowiącej od Kongresu Wiedeńskiego granicę nowo utworzonego Królestwa Polskiego, nie kryło się wśród starych sosen i dębów zacisze dworku leśnego? ¹⁾). W uroczem tem ustroju, Szwajcaryą Kujawską dotąd zwanem, ulubionym wtenczas celu spacerów i konnych przejażdżek młodzieży, u boku Maryi mógłby być Fryderyk i tworzyć i marzyć. Lecz jego nęciły kasztanowe sady berichońskich równin, rozkoszne ukrycia parku w Nohant, drzące jeszcze miłosnem wspomnieniem o tajemniczych schadzkach Maurycego Saskiego z piękną Aurorą, prababką dzisiejszej, niemniej pięknej Aurory Du-devant.

Pulchrae matris filia pulchrior. Tam był raj dostępniejszych uciech, tam złote owoce rozkoszy same mu się do ust naginały i tam też podążył. Więc nie Marya o nim, lecz on o Maryi zapomniał. A jednak w sądach swoich, opinia dla Maryi okazała się surowszą. Rodzina mistrza, jego siostry, nie przebaczyły nigdy rzekomej zdrady. Dla Lelii, od tych wzorowych żon i matek polskich, same hymny podziwu, same wyrazy uwielbienia i zachwytu; dla dawnej przyjaciółki lat dziecinnych, tylko słowa żalu i niechęci, odzywające się z głębi ranionych serc przy każdej nadarzającej się sposobności. Gdy po czterech latach Marya oddaje swą rękę młodemu sąsiadowi i dalekiemu krewnemu, ze zgryźliwą ironią Ludwika Jędrzejewiczowa donosi bratu: „Józio ²⁾ więc żeni się z Marynią, a Marynia idzie za Józia. W maju ślub z pewnością. Każdy dziwi się temu maryażowi i wyborowi. Cóż Antoś na to? Hr. Józio, z którego wszyscy zadowoleni, ma do 400.000 i dobra w sąsiedztwie panny, od której tylko parę lat młodszy, gdyż zawsze pragnął żony, któ-

¹⁾ Stanisławowo, na stronie pruskiej, lasy należące do składu dóbr służewskich.

²⁾ Józef hr. Skarbek, ur. w r. 1819, zmarły w r. 1902, nie był o dwa lata młodszym, lecz w równym wieku z Maryą.

raby jego, nie on ją — prowadziła. Powszechnie, o ile on zyskuje na niespodziewanym wyborze swoim, druga strona traci — takie przynajmniej jest zdanie każdego, kto o tem słyzy i zna osobiście albo z opinii osoby. Niech im Bóg szczęści i nie pamięta!“

A kiedy w kilka miesięcy po odbytych ślubie, bawiąc na kuracyi w Ciechocinku, odwiedza na ich życzliwe zaprosiny dziedziców służewskich, i wtenczas nie zapomina urazy. W troskach nawiedzających rodzinę, a z których jej się matka Maryi zwierza, upatruje słuszny dopust kary Bożej. „Uzależniającej się przedemną pani Wodzińskiej potwierdziłam wręcz, że to kara Pana Boga, bo nie mogę, myśląc otwarcie, nie gadać otwarcie. Hrabstwo młodzi nie nie mają młodego. Ona cierpiąca ciągle. Chcieli koniecznie, abym do nich przyjechała; prosili bardzo i bardzo oboje; a to wiele, że się on na ten krok zdobył, bo zawsze taki, jakim go pamiętasz. Przysyłali nawet umyślnego o sześć mil do mnie posłańca z zapytaniem, kiedy powóz przysłać mają — nie byłam, nie *par rancune*, ale że nie. A za najczulsze zaproszenie równie podziękowałam. Żebyś ty był tylko zdrow, spokojny i szczęśliwy!“ A więc powątpiewała o szczęściu i spokoju brata, mimo oznaki przywiązania, których nie szczędziła jego przyjaciółce, dlatego, że w jej myśli i jej przekonaniu, jedynie z Maryą i przy Maryi mógł doznać prawdziwego ukojenia. Więc Fryderyk kochał Maryę, a jednak dobrowolnie wyrzekł się jej kochania. Zaprawdę uwierzyć trzeba w rzeczywistość utrwalonej i rozpowszechnionej legendy, trzeba wierzyć w istnienie tego zwoju listów z napisem: „Moja bieda“. Ale w tych wyrazach nie znajdziesz ani skargi, ani żalu nawet, bo ta „moja bieda“ czyliż to nie znaczy tyle co „moja dola, mój los, moje przeznaczenie?“ Tak się stało, jak się stać musiało, z woli losu, silniejszego od woli i zamierzeń ludzkich. A jednak nie, bo miłość to wiara. O niej, jak o wierze, powiedzieć można:

L'amour qui n'agit pas est-ce un amour qui sauve?

Miłość, jak wiara, powinna być działającą, powinna nosić w sobie płomień i ofiarność wiary. Trzeba dążyć ku niej przebojem, choćby przez zgłiszczą i pożary, okupić krwią

najserdeczniejszą. Jak wiara, zdolną musi być ona przenosić góry, ożywiać głazy, z pustyni wydobyć źródła. Wtenczas tylko staje się miłość treścią, zwycięstwem, nagrodą i weselem życia; bez tej cudownej boskiej mocy, jest ona tylko cieniem, igraszką chwili, złudą, często niewolą i zatraceniem.

A. W.

(Dokończenie nastąpi).

O MARYI WODZIŃSKIEJ.

(Dokończenie).

V.

Te cztery lata, które upłynęły dla Maryi od ostatniego spotkania się z Chopinem aż do zamążpójścia, możnaby nazwać białą kartką w jej życiu. Przeżyła je po większej części w Służewie, dlatego też należy dać czytelnikowi pobieżny opis tej miejscowości. Na samem pograniczu leżące miasteczko, koncentrowało w sobie na owe czasy dość ożywiony ruch tranzytowy i handlowy. Był tu główny urząd celny; były okazałe gmach pocztowy, skąd i dokąd traktem toruńskim kilka razy dziennie wyruszały i powracały ładowne staroświeckie dyliżanse. Był zajazd obszerny tuż pod murem okalającym ogród zamkowy, bardzo z konieczności uczęszczany i z tej racji także głośny w okolicy ze swej smacznej kuchni, a nawet z doskonałości wyrobów cukierniczych. Było, jak dzisiaj zresztą jeszcze, dziewięćdziesięciu dziewięciu majstrów szewskich, zazdrośnie, w ciężkiej, żelazem kutej ladzie przechowywujących w tak zwanym „ratuszu“ przywileje niegdyś im nadane przez królów naszych, od Łokietka począwszy. A że był ratusz, musiał być i burmistrz, *alias* prezydent, mianowany przez dziedzica; był rabin i kahał, gdyż jeżeli szewców bez mała sto, to żydków więcej niż tysiąc naliczyć się dało. W dzień noworoczny gremialnie z pochodniami w rękę, w atlasowych chałatach i futrzanych kołpakach przedstawiciele chajderu składali życzenia

dworowi, bywało w zwrotkach uciesznych, lecz w których żargon srodze kaleczył polszczyznę. Od miasta rozdzielony stawem, między kościołem o oryginalnej, z ciężkimi kontrszkarpami romańskiej budowie z jednej strony, a ceglana, rzekłbyś krwią nasiąklą przy lunach zachodu bożnicą z drugiej, wznosił się wśród gąszczy drzew starożytny, jeszcze w średnich wiekach przez rycerzy Gothardów założony zamek. Z biegiem czasu, w skutek przeróżnych klęsk, pożarów, wojen, napałów był on na pół zrujnowany; właśnie w ostatnich latach, korzystając z dłuższej nieobecności w kraju żony i dzieci, terażniejszy właściciel, a ojciec Maryi, do należytego przywrócił go stanu. Jest to masywna czworokątna budowla, o wysokim spadzistym dachu, z czterema po bokach narożnymi strażnicami, w których blachą krytych gloryetkach, ruchomymi obdarzonych gironetkami, ku nocy odzywają się smętne nawoływania puszczyków, podczas gdy tchórze i kuny rozpoczynają swe haree i tany. Nad szerokim, trójkątnym frontonem fasady, w środkowym przecięciu belkowania, wystrzeliwał ku górze szklany belweder, piętą uwieńczony wieżyczką, skąd u szczytu, w dniach uroczystych powiewała barwami Jastrzębczyków błękitna ze złotem chorągiew. Tu też zegar smętnie wybijał godziny, jak o tem w swych listach wspomina matka Maryi. Pośpiech w wykonaniu restauracyi nie pozwolił odtworzyć planu w całej swej harmonijnej całości: tak więc ubyły dwa skrzydła, których arkady, zarysowując jakoby dwa wewnętrzne dziedzińce, przypominały swą smukłością wdzięczne loggie Wawelu. Lecz, o zgrozo! nie zabrakło muroburców. Znalazł się taki pod postacią wojskowego lekarza, rozbitka Wielkiej armii. Był nim kilkakrotnie już wspomniany Dr. Paris. Zaaklimatyzował się odrazu pod polskiem niebem. W medycynie trzymał się przepisów molierowskich, które dosadnie po polsku tłómaczył „jucha puścić!“ Co gorsze, czuł się on częstką rodziny u swych chlebobawców i to niezbędną, a że lubił karność wojskową, proste linie, proste szyki, ufny w powagę, jaką mu nadawała nazwa Francuza, starcząca wtenczas, szczególnie u nas, za wszelkie uzdolnienia i wszelkie kwalifikacye, sam z własnej wiedzy i natchnienia, w nieobecności, przypuszczam, kierującego robotami budowniczego, piękne gotyckie sklepienia dolnych komnat kazał wszędzie

zastąpić prostemi, płaskimi pułapami! *Simple comme un alignement.*

W tej to odnowionej siedzibie, wśród rozłożystych cieniów umiejętnie zarysowanego parku, ukryła ośmnastoletnia Marya pierwszy bolesny serca swego zawód. Czy cierpiała? I czy cierpienie to na zawsze zostawiło w jej duszy osad fermentu i goryczy? Ci, co ją, jak ja, bliżej znali, przypuszczać tylko mogą, że ten żal nie zranił śmiertelnie jej duszy, że nie wżarł się rdzą zatrutą w jej krew i żyły. Była za młodą jeszcze, za słodką i za bierną. U niej namiętność nie kłębiła się nurtem potoku, ślepą, żywiołową siłą po przez skały i głązy torującego sobie ujście. Podobną była raczej do tych płytkich, przezroczych wód, w której nieruchomej taffi, jakoby w lustrze, odbijają się otaczające obrazy. I bodaj czy ta pogodna, lecz bierna refleksyjność, nie stanowiła właśnie jej największego uroku? Czy nie nim pociągnęła do siebie dwóch najprzedziwniejszych duchów i twórców narodowej poezji i sztuki? Geniusz chce raczej być instynktowo odczuty przez kochające serce kobiety, niż zrozumiany i roztrząsany. Pragnie z tych białych piersi mieć wezglowie, odpocząć, zatopić się w tem bezkrytycznem kochaniu, owinać się i otulić rozkoszą jej całkowitego oddania. Marya miała w sobie coś z oplotności bluszczu, lecz także jego niewyczerpaną żywotność. Gdy z pod uścisków jego zieleni osunie się jedna podpora, znajdzie drugą, o nią się owinie i w tej znowu, jak w pierwszej, równą się cieszy, niezbędną podniętą do życia. A przytem istnieje ta cudowna moc młodości, moc odnawiania i wskrzeszania, w boskiej wierze, o niewyczerpanej twórczości i radości życia. Życie zaś było dla Maryi pełnem ożywczych technień i promieni. Otaczało ją tem wszystkim, co już starożytni nazywali *delectamentum vitae*. Majątek, sztuka, miłość rodzinna, weselość i ta szeroka egzystencya, prawie że książęca udzielnosc, niezrównana swym urokiem, swadą, fantazyą dawnych wielkich polskich dworów. Jak to poetycznie w zaciszu komnaty słyszeć z książką w ręku, jak zegar na wieży wybija godziny, a potem w cienistych aleach marzyć, tęsknić i roić; wreszcie sięść przed sztalugą i z sumienną dokładnością odtwarzać na płótnie arcydzieła mistrzów nieśmiertelnego *renascimento*; a potem fortepianowi powie-

rzać najskrytsze uczucia, wysnuwać z klawiszów jakby misterną koronką, słodkie wspomnienia chwil ubiegłych; a potem dziarską sprzężoną czwórka, czy to w purpurze letnich wieczorów, czy w białych księżycowych nocach, pędzić przed sobą wśród borów żywicznych aż do Torunia, nagle, z za ostatniej ciemnej firanki sosen, odsłaniającego swe szczerbate mury, w blasku słońca jakby porfirem świecące, lub też do bliższego Ciechocinka, natenczas białemi domkami zaledwie powstającego z morza swych piasków; a za powrotem, wśród śmiechu i gwaru liczego towarzystwa, zasiąść u stołów, często w długą podkową zastawionych. Bo w Służewie, oprócz przyjezdnych krewnych i sąsiadów, gościł liczny dwór: rezydentów, guwernantek, metrów, tak zwanych komisarzy; czyli zarządzających. Do niego należeli także i ten osławiony molierowski doktor, o którym poprzednio wspominaliśmy, dalej dygnitarze miejscowi: pan prezydent miasta, naczelnikowie poczty i komory, a na ich czele niestrudzony uczestnik wszelkich zabaw i festynów, X. prałat Sobeski, proboszcz miejscowy, następca ascetycznego X. Dunina, późniejszego arcybiskupa gnieźnieńskiego; on zaś przeciwnie, typ kapłana starego autoramentu, co to więcej do kielicha i węgrzyna, niż do mszału i różańca, tak, że pod jego wizerunkiem, ręką Maryi rysowanym, do dziś dnia istniejącym, ktoś z ówczesnych złośliwie a słusznie dopisać mógł te słowa: „Ukłoń się i wypij“.

Takie to były ramy życia i takie otoczenie Maryi, nadające się do kroniki jakichś „pamiętników kwestarza“, bliskie jeszcze naszych wspomnień, a jednak tak już dalekie! Do tych sylwetek minionej epoki należałoby jeszcze dodać bawiącego w Służewie malarza Jebensa. Z pod jego pędzla bowiem wyszedł na owe czasy obraz, o którym wspominaliśmy, bo oprócz tego, że illustrował wnętrze szlacheckiego domu z przed już bez mała stu laty, przedstawiał nam rysy Maryi w najwdzięczniejszej dobie rozkwitu intelektualnego i plastycznego zarazem. Było to płótno niezwyklej rozmiarów, gdyż postaci należą do najbliższego grona rodzinnego, oddane tu były prawie w naturalnej wielkości. Tworzyły one tak zwaną *scène d'interieur*, gdzie barwami niby dzisiejszym aparatem fotograficznym, starano się uchwy-

cię codzienny tryb domowych zajęć i nawyknień. Więc w obszernej sali bawialnej, naokoło rodziców, zgromadzili się synowie, córki, zięciowie i wnuki. Marya w różowej sukni, z modnemi *manches à gigot*, zasiadła do fortepianu, na którym właśnie jeden z jej braci rozkłada nuty. Może śpiewać będzie dla niej skomponowaną piosnkę: *Gdybym ja była słoneczkiem na niebie*, a może w rzewnych akkordach popłyną dźwięki znanego walca? Obraz ten, przeznaczony dla wygnanego w Dreźnie wojewody¹⁾, uległ zniszczeniu podczas zawieruchy 1848 r. Wtedy to, wszechy od wybuchu kuli pożar w domu na Scheffelgasse, gdzie mieściły się cenne zbiory Macieja Wodzińskiego, wiele paniątek w garstkę popiołu obrócił.

Rok za rokiem mijal. Po pięknych miesiącach letnich zimę spędzano w Warszawie. Panna majętna, jeżeli nie uroda, to wdziękiem niewieścim ujmująca, zdobna w aureolę, którą powszechnie bądź co bądź znana miłość dwóch tak sławnych geniuszów spowiła jej czoło, musiała naokoło siebie ściągnąć grono nie tylko zaciekawionych, ale i wielbicieli. Z obojętnością jednak odrzucała nadarzające się partye. A im więcej okazywała się nieczułą, tem więcej rósł jej powab. *La jolie laide*, jak ją w salonach przewano, każdy swój występ nowem naznaczała powodzeniem. Czy pod tą towarzyską, równą dla wszystkich uprzejmością, tliły w jej sercu dawne zarzewia? — trudno odgadnąć. O Fryderyku dochodziły ją wiadomości już te, które po całym świecie niosła jego sława, podniesiona jeszcze sensacją różgłośnego stosunku, już te bliższe, prawie że bezpośrednie, komunikowane jej przez ukochanego brata, dotychczas jeszcze bawiącego w Paryżu. Niejeden z tych listów, datowany z Nohant, przynoszący wieści z pod tego dachu, gdzie był stale teraz zamieszkał dawny, umiłowany towarzysz, musiał boleśnie uderzyć w struny najdotkliwszych jej uczuć. Mówiono jej, że dla ratowania zdrowia, Fryc w towarzystwie nierozłączonej opiekunki szukał wytchnienia aż pod palmami Valdemosy. Kto wie, czy kiedy kilka miesięcy potem odezwał się światu tem cudnem preludyum, w którego wstępie szczególnie odbija

¹⁾ Macieja Wodzińskiego.

się dawnem echem tak rzewna i znana dobrze tęsknota — nie pomyślała Marya, iż o niej to marzył w tym śpiewie dalekim, że jej to oplakiwał stratę? Wtenczas odżyć mogły żarliwszym ogniem przygasające już wspomnienia. Lecz gdy lata następowały po sobie, gdy za Lukrecyą Floriani, ową władczynią „o czarnej żrenicy i czarnej duszy“ — *femme à l'oeil sombre, au coeur noir!* powiedział Musset — jak cień, krok za krokiem, wszędzie widziano wąż, bladą postać piewcy ballad i preludyów, gdy i brat przestał o nim donosić, jakby kirem mileżenia pokrywając dawne złote zwierzenia, wtenczas czyż można się dziwić, iż wiedząc, że nigdy już milego nie ujrzy przyjaciela, że na zawsze dla niej stracony, uległa wreszcie i naleganiom rodziny i czułym zakłębom i może wreszcie głosowi własnego serca, oddając rękę wybranemu, dozgonnemu, jak sądziła, towarzyszowi życia. Był nim Józef Skarbek, syn Fryderyka, byłego ministra oświecenia za czasów Księstwa Warszawskiego.

Dziwnym trafem losu, rodziców męża Maryi bliskie łączyły z Chopinami stosunki. Tak Józef Skarbek, jak i Fryderyk Chopin, ujrzeni światło dzienne w Żelazowej Woli. Od ojca męża Maryi, Fryderyka Skarbka, otrzymał mistrz imię chrzestne. Ludwika i Izabella Chopin często w swych listach do brata o Skarbkach wspominają. Po długoletniej przyjaźni zaszły tam zatargi, jak zwykle bywa, spowodowane interesami czy stratami pieniędzmi. Minister miał młodszego brata Michała, wychowanka niegdyś Franciszka Chopina, o słabej woli i lekkim charakterze człowieka, tak przynajmniej wypadaloby sądzić z następujących słów Ludwiki: „Oj ten pan Michał, inaczej skończył, jak sądziliśmy o nim. Całe życie było ucziwe, choć głupie i zdawało się, że był naszym przyjacielem; wydało się inaczej, lubo przypuścić chyba szal można. Napisał testament i rozprawę najgłupszą w świecie, która ani sensu, ani związku niema; więcej, jest głupia... i boli mnie, że to na jaw wyszło ludziom, bo on innej wart był opinii. W testamencie zapisuje wieś jakiemś zupełnie obcemu, ani słówka o bracie i siostrze, o papy długu, który do 20.000, więcej nawet wynosił. Ojczysko się zgryzło, wszyscyśmy się pogryźli, naprzód, że taki koniec głupi, a drugie, że taka niewdzięczność“.

Częściowo, jak widzieliśmy, przeniosła tę niechęć i na synowca zmarłego, na „hrabiego Józia“, jak go nazywa, zwłaszcza, kiedy wszedł w prawa w jej oczach należące jakoby wyłącznie do ukochanego jej brata. Sprawdziły się też jej smutne wróżby. „Bóg popamiętał“.

Ślub Maryi Wodzińskiej odbył się 15 lipca 1841 r., z wielką okazałością, w Służewie. Pozostała o tej uroczystości obszerna ówczesna relacya, w formie listu, a raczej pamiętnika, spisane go przez J. M. pana Kadłubowskiego, dziedzica dóbr Zaborowo *cum attinentiis*. Lecz wypada najpierw udzielić czytelnikowi krótkich doń, niezbędnych wyjaśnień.

W tymże samym miesiącu lipcu bawiła w pobliskim Służewa Ciechocinku słynna ongiś z piękności i dowcipu dama, Izabella, córka Ignacego Wodzińskiego, generała-lejtanta, powszechnie znanego w kraju komendanta korpusu kadetów. Człowiek zasłużony w ostatniej dobie Rzeczypospolitej, dzielny żołnierz. Sejm Czteroletni w nagrodę obdarzył go drogocenną honorową szpadą, odpowiednim ozdobioną napisem. Do niedawnych jeszcze czasów polska ta pamiątka znajdowała się w rodzinnem muzeum ordynacyi Maltzanów w Meklemburgu, córka bowiem generała wyszła *primo voto* za bar. Adolfa Maltzana, przedstawiciela swego księcia i pana przy dworze Stanisława Augusta. Rozwiódłszy się z nim i owdowiawszy po drugim mężu, Jakóbie Komierowskim, po raz trzeci oddała Izabella swą rękę owemu Imię panu Kadłubowskiemu. Tenże, zawsze pod urokiem pięknej jeszcze, choć leciwej pani, wyprawiwszy ją z córką na kuracyę do poczynającej dopiero świetną seryę przyszłych uzdrowień tak słynnej dziś miejscowości, kreśli jakoby dziennik *à la* Danjeau, w którym, ku jej większej chwale, szeroko i długo opiewa *les faits et gestes* swej żony. Ponieważ opisuje w nim uroczystości zaślubin służewskich, a że i wspomnienia z ówczesnego Ciechocinka łączą się w pewnej mierze z młodemi latami Maryi, umieszczam tu ten list w całej jego prawie podstawie, sądząc, iż nie zanadto odbiegnę od tematu.

„Kilkanaście o pochylonym słupie, o słomianem pokryciu, słowem czystej polskiej architektury domków, na białych, piaszczystych wydmach, nad brzegiem Wisły stojących — są słynnym w naszej okolicy Ciechocinkiem. Nad niemi wznosi

się zakład rządowy z kupami cierniowych różeg, które ssą wodę z wnętrzości ziemi i solą nam ją wydają. Zresztą równie natura, jak sztuka, nie były dla tego miejsca hojnemi. Nigdzie tam nie błyszczy kwiatek i nigdzie nie szumi drzewo. Przez dzień — wilgotny, rzeczny wietrzyk, igrając z piaskiem nagich wybrzeży, niesie goszczącym tu kuracюзom duszące pyły; wieczorem — opadające z pobliskich mokrych pastwisk wyziewy, zanoszą im mgły z siarzaną wonią i katar z głośnym kichaniem ¹⁾. Mieszka się tu po większej części, lubo za sowitą zapłatą, w pochyłej izbie, razem z gospodarzem i jego najbliższą familią, co to gdacze i kwiczy — a jada się co się z sobą z domu przywiozło. Spaceruje się po głębokim gorącym piasku. Trzysta osób dzień w dzień kąpie się w ośmiu wannach, a wizyty sadzają na pojazdowych walizkach. Herbata przy nieco większem zgromadzeniu, jak ongiś sławny warszawski poncz, podaje się w niepolesowanych garnkach. Z tego wszystkiego łatwo poznać, że Ciechocinek znajduje się w administracyi Banku, tej instytucyi arytmetycznej, w której przyjemność i wygoda szukających ulgi w cierpieniu rodaków, jako niedające na cyfry obliczyć z siebie dokładnie handlowego procentu, do rachunku weisnąć się nie mogą“.

„Rozrywki bywały tam rozliczne i zabawne. Naprzód koncerty, gdzie często występujący wirtuoz w największem napięciu sztuki nagle przestawał śpiewać i na głos z orkiestrą się kłócił. Bywały po domach prywatnych zebrania, na których młodź po za krzesłami matek, w błogiem kącików cieniu, zamieniała czule spojrzenia, a mamy i ciocie zasiadłszy w poważne koło, pod przyrzeczonem sekretem obgadywały bliźniego. Dwa razy na tydzień dawano także bale w teatrze, który miał swoją świątynię w oborze. Grywano *Roberta Dyabła* i inne znakomite sztuki. Dyrektor dla uczczenia publiczności roznosił po domach zawinięte w pisany afiszu bilety, a suffer dla lepszego zrozumienia rzeczy naprzód opowiadał widzom treść tego, co aktor deklamować miał“.

¹⁾ Kto zna dzisiejszy Ciechocinek, stwierdzić może, czego tam kierownicy zakładu, pracą i gorliwością dokazali w ciągu lat ostatnich.

„Pewnego dnia — na końcu drugiego aktu, to już się samo przez się rozumie — wchodzi dwie panie do teatru. Najpierwsze miejsca, naturalnie, już były zajęte, boć to i w Warszawie nie jeden podąża do przybytku Melpomeny więcej dla krzesła lub dla drugiej pierwszego piętra łoży, niż dla odgrywającej się sztuki. Nowoprzybyłe zaś damy, ciche, skromne, zajęły próżną ławeczkę przy wchodzie — aż tu szmer powstaje, rozruch się robi na sali, zrywa się młodzież, unoszą się z rąk do rąk w powietrzu stolki, wszystkie, choćby najambitniejsze głowy z uszanowaniem się chylą — stolki, jak kołyszące się balony, poważnie nad niemi płyną i płyną, i aż w najpierwszym rzędzie, prawie że na scenie, z hukiem spadając, w łono swoje obydwie damy przyjmują. Z nich, szczególnie jedna, z ujmującym pomięszaniem, z miłą gracyą, to w tę, to w tamtą stronę usłużnym kawalerom dziękuje. Któż to takie? cóż za jedne? — sypią się zewsząd w sąsiednie uszy pytania, a lubo za wymienieniem godności nikt niby na znak znania wysokiej rodziny mojej — długiem a... a... a... nie przywtarzał, rzucany jednak przez znajomych dodatek: „Z Wodzińskich pierwszego ślubu bar. de Maltzan“, znacznie zaspokajał pytających i niemało zaraz rozjaśnił ciemne Kadłubowskich nazwisko“.

„A teraz, słuchajcie, dwa dni później, bo 15 lipca, odbyło się w Służewie panny Maryi Wodzińskiej wesele. W dzień samego ślubu nie mogła tam być wasza matka, bo jej się właśnie, jak na złość, zaczerwienił nosek, z czem, jak osądziła Julka ¹⁾, cokolwiek nie było jej do twarzy. Pojechały zatem dopiero nazajutrz, ale miały czas opóźnienie sobie wynagrodzić, bo wesele, że choć pańskie, nie było modne, czyli to, że po rannym ślubie i lekkim śniadaniu, państwo młodzi siadają na pocztę i dopiero w następnym karczemnym zajeździe dobra w małżeństwie nabyte nawzajem sobie w posesyę oddają, lecz przeciwnie, wszystko się tu odbyło po staropolsku. Fety trwały od soboty do środy. W dniu ślubu, jak Bóg przykazał, odbyła się urzędownie cukrowa kolacya. W środę zaczęły się solenne przemowy, na których już moje panie, dla przydługiej przerwy w kuracyi,

¹⁾ Panna Komierowska, córka z drugiego męża.

znajdować się nie mogły. Bawiono się wybornie. Gospodarstwo oboje z prawdziwą magnacką uprzejmością podejmowali gości. Kuchnia najprzedniejsza, wina przewyborne, a piwnica nie wyczerpana: kielichy, kieliszki rozmaitego kalibru, rozwijały wesolość licznie zgromadzonego towarzystwa. Dobry humor, połączony zarazem z wytwornym smakiem i elegancją najlepszego świata, jakiś szczególnie serdeczny nastrój, połączony z wykwintnością obejścia, nader przyjemny sprawiały efekt, dawnych karmazynów Wodzińskich z paryskimi Wodzińskimi jakoby w jeden akkord stapiając. Towarzystwo składało się bez mała ze stu osób. Umieszczono wszystkich i w pałacu i po miasteczku. Jednem słowem, moje panie wróciły rozbawione i zachwycone¹⁾.

Szkoda, że sprawozdawca nie wspomina o tem, co by nas dzisiaj najwięcej zajmować mogło. Mianowicie, jakie w tych dniach panna młoda na otaczających wywierała wrażenie; wiemy bowiem z przekazanych opowiadań domowników, iż wydawała się zadowoloną z losu, okraszona tym uśmiechem, który był jej czarem, lecz też do końca już życia pozostał także jej maską. Zresztą zawarty związek, podług świata i ludzi, zapowiadał nowożeńcom wszelkie warunki szczęśliwego pożycia. Oblubieniec urodziwy, w równym z oblubienicą wieku, potomek historycznego rodu, odziedziczył po przodkach z chlubnym, nieskazitelnem nazwiskiem, i piękne materyalne mienie. Choć wrodzone zdolności nie odpowiadały może zupełnie gorliwym chęciom i zabiegom, starał się już wtenczas stać się użytecznym współziomkom i ojczyźnie. „Jakem szeroki i długi, zawsze na wasze usługi“, takie to do jego charakterystyki miało później w kraju przyłgnąć określenie — a dodajmy do tego wszystkiego, na pozór prawdziwie zakochany. Mówię: na pozór, bo przez kilka lat wspólnego pożycia młodą parę łączyły tylko pozory, więc i pozornem tylko musiało być szczęście. W każdym związku dwóch istot odmiennej płci odbywa się wtajemniczenie i przemienienie zarazem. Cud, jednem technieniem ożywionej z marmuru Ga-

¹⁾ List pisany był do córki z pierwszego łoża Joanny bar. Maltzan, zameżnej Krzysztofowej Cieszkowskiej, a matki hr. Augusta Cieszkowskiego, znanego filozofa.

latei, odnawia się codziennie. Rozbudzoną w nowej postaci duchowej i fizycznej do nowych pożądań, do nowych potrzeb, do nowych uczuć kobietę, nie tyle może w tem nagłem przeznaczeniu porywa popęd zmysłowy, ile napęliwia podziwem wdzięczność i uwielbienie jakby nowo stworzonej istoty względem swego Stwórcy. Otóż tej kompletnej przemiany Maryi w małżeństwie zapoznać nie było danem. A jednakże taka pozostała siła dokonanej przysięgi przy ołtarzu, taka moc zaklęcia wobec Boga i ludzi, taki trwały wpływ przekazanych cnót chrześcijańskich i domowych uświęconych tradycyj, że Marya byłaby się zapewne ze swą dołą i ze swem życiem zgodziła, gdyby nie znowu jeden z tych przypadków, które niespodziewanie zmieniać się zdają przeznaczenie, choć same w sobie nasze przeznaczenie noszą.

Na drodze małżonków — czytelnicy już zgadli, dawny to bowiem zjawiający się we wszystkich powieściach *deus ex machina* — stanął ten traf czy bożek pod postacią oczekiwanego bohatera romansu. Był nim młody, piękny, subtelny, zdolny, wrażliwy i wrażenie wywołujący dwudziestosiedmioletni Władysław Orpiszewski. Pochodził, jak legenda niesie, z rodu możnowładczego, którego przedstawiciel w skutek burz i przejść życiowych z Litwy przeniósł się aż na Śląskie kresy. Stąd dopiero na początku XVIII wieku jedna z tego pnia gałąź zaszczerpiła się na Kujawskiej ziemi. Cloć nie zapuściła tu jeszcze głębokich korzeni, już wydała chlubne dla kraju owoce. Brat starszy Władysława był tym nieustraszonym Belwedereczykiem, który później na wygnaniu pod nazwą „Ludwika z Krzewia“ w poczytnych na owe czasy powieściach odtworzył życie naszych Legionów, oraz bohaterów ostatniej za niepodległość walki. Takim to poprzedzony urokiem, zjawił się Władysław Orpiszewski w oczach Maryi. Był poetą, wracał z Monachium, gdzie oddawał się studjom, przejęty filozofią Hegla, tłumacz niektórych dzieł Voltaire'a, nadewszystko wielbiciel Słowackiego. Majątek u niego nie szedł w parze z licznymi przyrodzonymi darami, bo choć ojczysta Klóbka pod Kowalem stanowiła piękny szmat ziemi, rodzina, jak to zwykle w szlacheckich domach polskich, liczniejszą była, niż dzierżone przez nią wioski. Przyszło mu więc chodzić po dzierżawach, i oto traf,

który wyżej nazwałem przeznaczeniem, zapędził go pod Osięciny, do jednego z folwarków dóbr Woli Gzowskiej, dziś jako Wola Skarbkowa zwanej. Tak się spotkali — i stało się, co stać się musiało. Poczuli, iż są stworzeni dla siebie, że nie zrozumiani przez drugich, sami siebie nawzajem zrozumieć potrafia. Dopiero wtenczas zmierzyla Marya całą nicosć i pustkę obecnego życia, cały tajony dotąd bunt duszy przeciw zgwałconym prawom natury. Jak najczęściej bywa, pierwsze tych dwóch serc zbliżenie dokonało się w idealnych sferach pragnień i wyznań duchowych. Pozostała bowiem zawsze Marya *une intellectuelle* więcej, niż *une passionnelle*. W wyobraźni zrodzone uczucia, z mózgu dopiero napływały do serca, z serca zaś ogarniały zmysły. Odwrotnie, jak to określił poeta, za sercem i duszą szedł dopiero u niej ten zmysł, co kochać przymusza. Pod takim to tęczowym pryzmatem, w roznamiętnionej a niezadowolonej kobiecości i wyobraźni, zjawił się jej, jak z zaczarowanej bajki oczekiwany królewicz, młody, ponętny, olśniewający dowcipem, skarbami nigdy mu nie wymawiającej posłuszeństwa pamięci, opanowujący siłą woli, potęgą kochania, samorodną czy też w jej oczach urojoną wyższością ducha. Więc pokochała go — do grobu — bo tylko „wyższych umysłów“ kochać i przez nich tylko kochaną być pragnęła. A wtenczas ta dotąd słodka i bierna istota w obronie praw swych staje do walki z uświęconymi tradycjami, ze skrupułami sumienia, z opinią świata, z własną rodziną. Idzie na przebój. Wszystko depce pod nogami. Opuszcza dach wspólny, zrywa z najbliższymi jej krwią i nazwiskiem, wytacza proces rozwodowy, przeciwko któremu jednak mąż wnosi opozycję. I sprawa ciągnie się trzy lata wśród nieustających zmagañ, między nadzieją i rozpaczą. Bo czasami zdaje się, że żadne ludzkie, ni boskie wyroki tych więzów już skruszyć nie zdołają.

„Wróciłem do domu smutniejszy, niż kiedykolwiek — pisze Orpiszewski do przyjaciela i powiernika swego pod datą 3 stycznia 1848 r. — Nasze nadzieje opóźnione zostały na Bóg wie jak długo¹⁾. Kiedy rano otwiera się przedemną

¹⁾ Skarbek od wyroku sądu biskupiego wrocławskiego założył apellację do konsystorza metropolitalnego warszawskiego.

cały dzień długi, samotny, nieprzebyty, taka żalność i ból cisną serce moje, iż myślę, że to już dzień ostatni. Nie mam odwagi nigdzie wyjechać i mieszać się wśród ludzi, bo nie jestem pewny, czy w chwili wspomnienia o niej nie powstrzymane żadną mocą łzy nie popłyną mi z oczu. O niech ci Pan Bóg nie da nigdy takiego jednego przeżyć dnia, na jakie na całe życie może niebo mnie skazuje. Jeżeli ostatecznie wszystko źle wypadnie, wielkie nastąpić mogą nieszczęścia i niech ich odpowiedzialność spadnie na głowę tych, którzy je wywołają. Przecie jak owca nie dam się zamordować. Ileż to razy myślę, że gdybym był z tobą, tybyś mi umiał dodać siły, uspokoił, rozbudził w piersiach nadzieję, wzmocnił przeciwko złym przeczuciom, ale tak samemu zostać, ze skłonnością tłómaczenia sobie wszystkiego na gorsze, to doprawdy można zwaryować. Są chwile, gdzie czuję obłąd myśli moich; strach mnie wtenczas ogarnia; trzeźwię się, jak mogę. Utrata rozumu, śmierć fizyczna, a nawet i moralna, nie dadzą chyba pojęcia o tem, co teraz odczuwam. Nie! już więcej i dłużej pisać nie mogę, nadto jestem wzburzony.

Twój przyjaciel *Władysław*“.

A i Marya skargi swe wywodzi. Lecz nawet w rozdarciu i udręczeniu serca, niestety, nie zapomina o muzach. Ten ból szczerzy i krwawy, te uczucia, w obronie których gotowa wszelkie ponieść ofiary, wyraża w bladych rymach — i to przeważnie francuskich. Wolę, gdy w mowie ojczystej chwyta się najtrudniejszej aczkolwiek formy w poezyi — bo sonetu.

Nam już nie szukać współczucia u ludzi;
Srogie cierpienie, co mą duszę gniecie,
W własnych rodzicach litości nie budzi,
A ty już dawno sam jeden na świecie.

Złączmy więc nasze dwie samotne dusze
Dla twego szczęścia, dla twojej miłości,
Wszystkie ja więzy, wszystkie pęta kruszę:
Radosny dla nas błysnie dzień wolności.

A jeśli tedy gorzkich łez wspomnienie
W pamięci naszej dni ubiegłe zbudzi,
To już ta boleść, to wspólne cierpienie

Ciężarem swoim duszy nie utrudzi.
W zdobytym szczęściu smutek utopiemy
I mówić o niem z uśmiechem będziemy.

Albo jeszcze, naśladowane z Biblii, wersety żalose:

„Więc sama na świecie, sama do walki stanąć muszę“.

„Albowiem w cierpieniu żadna nie wyciąga się ku mnie
moc pocieszenia“.

„Nie! Tyś jeden ze mną. Tyś mi wspomóżeniem. I dla
tego świat mnie od ciebie oddala“.

„Sercem mnie tylko wspierać można — lecz czyż wszystkie
serca z kamienia, o Boże!“

„Widzą, jak cierpię, jak z dniem każdym życie mi
z piersi uchodzi“.

„Słowem, słowem jednym mogliby śmierć odsunąć, zdrowie
przywrócić, a tego słowa wymówić nie chcą.... Kto?
Rodzice moi!“

„I milczą. Żądanie moje nie zgadza się z przesądami
świata; moje szczęście, moje życie mniej dla nich ważą!“

„Jednak kochałam ich tak święcie! — a dziś, gdy do
nich wołam o pomoc, gdy błagam, aby mi tylko żyć dozwolili,
oni opuszczają mnie!“

„Ludzie, ludzie! wymagacie poświęceń, lecz sami co da-
jecie w zamian sercu?“

„Wierzyłam, że moi inni od ogółu... wierzyłam, że le-
psi, sprawiedliwsi — lecz jak srodze zawiedli oni wiarę
moją!“

Miłość zwyciężyła jednak. Pokonane zostały trudności.
Sąd konsystorski metropolitalny warszawski wyrokiem dnia
18 lipca 1848 r. potwierdził unieważnienie małżeństwa: *in
ipsa radice nullum ac irritum*, stawiając jednak warunek
trzyletniej prekluzji. Lecz i tę ostatnią przegrodę potrafiłono
uchylić. Termin dał się usunąć. Ślub odbył się jeszcze tego
samego roku, poczem Władysław Orpiszewski uwozi żonę za-

granicę. Pragnie z nią zwiedzić te miejsca, wśród których upłynęły dla niej promienne dni pierwszej młodości. I oto na widok wspaniałej helweckiej przyrody, lodowców skrzających w blasku wieczornym barwami rubinów, jezior to pianą wzburzonych, to jak w błękitnem ukojonych rozmodleniu, przypomina on sobie, że niedawno temu ulubiony jego nad wszystkich poeta w nieśmiertelnych tereynach ową Maryę, dzisiaj już jego Maryę, opiewał. Więc i on woła w uniesieniu dumy i miłości:

Ach to Szwajcarya, Szwajcarya!
 Nademną wiszące grody,
 Podemną szumiące wody,
 A przy mnie moja Marya!

Niedługo przecież wrócili do kraju, stęsknieni do wsi polskiej, do rodzajnych łąków, do pachnących łąk i borów, do smętnych widnokręgów ojczystej ziemi, za któremi Marya i tam nad Lemanem, i w Dreźnie, o „szarych godzinach“ nie przestała nigdy oglądać się i tęsknić. Nie to, że tak skromnie, prawie że ubogo przedstawiały się z początku warunki codziennego bytu. *Ni l'or ni la grandeur ne nous rendent heureux* — powiedział znany fabulista, co możnaby tłómaczyć po polsku: „Złoto ni honory nie warte miłości“, albo też, jak pod nastrojowym rysunkiem wtenczas zapisała Marya: „Nawet w chatce, byle z nim“. To też osiedli w małej wioszczynie, od rzeczki Zgłowiączki nazwę swą wiodącej. Wtenczas było to jeszcze dziedzictwo kapituły wrocławskiej. Na płaskowzgórzu, z cegły wiekami poczernionej, wznosił się kościółek w cieniu rozłożystych lip. Z okien ubogiego drewnianego dworku oczy Maryi spocząć mogły w dali na wysokich dachach mehem starości pokrytych, na zielonych murawach wałach dawnych szwedzkich czy krzyżackich jeszcze okopów, na kasztanowych altanach, trylami słowików dźwięczących, jak dawniej, gdy małą jeszcze była, gdy długim taborem sunęły pojazdy i wozy, całą rodzinę do sąsiedniej majątności Sułkowskiej wiozące.

Zresztą i Zgłowiączkę otaczał urok zamierzeblej, cudownej baśni. Jak legenda kujawska głosi, w lechickich je-

szcze zaraniach naszej historii, kiedy to stawy i jeziora nieprzerwanem pasmem łączyły nas z morzem, kwitnęło tu miasto, dumne ze swych bogactw. Lecz Bóg zesłał karę na bezbożnych, w rozkoszy i rozpuście trawiących życie mieszkańców. Rozwarły się wody, pochłaniając grzeszny gród, bez śladu. Tylko dzisiaj jeszcze słyhać nieraz, jak na dnie stawów biją dzwony zatopionych kościołów i jak z głębi fal wznoszą się chórem śpiewy i błagania żałosne. Że każda legenda zawiera w sobie cząstkę prawdy, objaśnić należy, że już w starożytności słyneła ta miejscowość pokładami soli, skrzętnie z łona ziemi i wód ręką niewolników przez książąt i panów wydobywanemi.

Krótki jednakże miał tu być pobyt małżonków. Gdy wobec dokonanego i nie dającego się już zamienić faktu ułagodziły się żale i poróżnienia rodzinne z uregulowaniem majątkowych stosunków, przenieść się niebawem mogli do własnego dziedzictwa. W Rysinach pod Kłodawą wszystko im się zrazu uśmiechać zdawało. Ziemia rodziła obfite plony. Miłość im słońcem świeciła, wreszcie, jako ludzkiego szczęścia uwieńczenie, ziściło się to, co obojga było najgorętszem pragnieniem, dla Maryi zaś poniekąd usprawiedliwieniem i zadosyć uczynieniem. Bóg obdarzył ich synem. Zdawało się im, że nad nim unosi się geniusz tych dwóch nieśmiertelnych wieszczów, którzy swą miłością jakoby z gwiazd koroną ozdobili czoło matki. Jasność jakaś i tęskność biła z jego oczu, głębokich jak szafirowe morza tonie, z długich, złotem pszenicy lśniących pukli włosów. Na podobieństwo niegdyś Juliusza w rączki brał rozwartą książkę i śpiewnym rytmem długo nad nią zawodził. Przykładem Fryderyka, u kolan grającej matki całemi godzinami wsluchiwał się w dźwięk rozbrzmiałych strun fortepianu. Lecz zamiast rozkwitającego kłosu, zamiast pokładanych w tem cudownem dziecku nadziei, przyszła niezrozumiała w okrutności ślepego losu śmierć i skosiła trzyletnie dziecię.

O synku mój! Bez ciebie już życie
Dla twych rodziców bez słońca, ni treści,
Bo nigdy dotąd takie śliczne dziecię
Tyle nie dało szczęścia, ni boleści.

Tak zapłakał ojciec nad trumienką jedyne go dziecięcia i te wyrazy matka później na marmurze wyrzeźbiła, by w sercach potomnych oddźwięk znalazła skarga dwóch serc, rozbitych na wieki.

Odtąd też dla osierocalnych rodziców rozpoczęła się pielgrzymka „bez słońca, ni treści“. Tęsknota za utraconem dzieckiem, za tą najlepszą częścią samego siebie, za tem, co człowiekowi udziela jedynie na ziemi zadatek nieśmiertelności, dozwalający mu trwać technieniem swej woli i duszy w duszach i woli następujących po sobie jakby szeregiem w dal jaśniejących pochodni przyszłych pokoleń -- tęsknota z utraceniem wszelkich ambicij i nadziei, wżarły się w krew i serce nieszczęśliwego ojca, podkopały jego siły żywotne. Zapadł w chorobę piersiową. Trzeba było kraj opuścić, szukać pod cieplejszem niebem Włoch jeżeli nie zapomnienia, to przynajmniej ukojenia. I tu dla Maryi w tej długiej, co dnia się odnawiającej, bezustannej walce ze złym losem, poczyna się najszczytniejsza, bodaj że najpiękniejsza karta z jej życia. Walczyła z uśmiechem na ustach, z tym przedziwnym spokojem i słodyczą, które jakoby dokoła rozprószały cienie śmierci. I dokonała cudu! Przez lat dwadzieścia swem poświęceniem, nigdy na chwilę nie usypiającą czujnością i troskliwością przedłużała to wątłe pasmo dni. Otoczyła męża cudownym puklerzem swego hartu, zasłaniała go tarczą swej woli, tak, że przez tę nieugiętą, a wciąż na nowo ukutą stal, ciosy śmierci codziennie na nowo przenikać musiały. Czy w Pizie, czy we Florencyi, gdzie później osiedli, wszędzie niosła za sobą ten promień ożywczy, tę czułość serca, tę podnieętą umysłową i duchową, jedynie zdolne odrywać nas od męki cierpień moralnych i fizycznych. W salonie *villino Orpisceschi* na Piazza d'Azeglio często wieczorem gromadziło się kółko dobrane: pani Cappelli, Dzieduszycka z domu, a nieraz w przejeździe hr. Wojciech Dzieduszycki, pełen zawsze humoru, werwy i tej dosadnej genialności, cechującej nie tylko jego politykę, ale i publicystyczną działalność. Także z Paryża tu na zimę zjeżdżający ks. Władysław Czartoryski, ścisłą przyjaźnią ze starszym bratem Władysława Orpiszewskiego Belwederczykiem, związany. Z rodaków zaś nad Arnem osiadłych: Antoni Zaleski, malarz i rzeźbiarz, Teofil Lenartowicz, który był wtenczas także

pióro na dłuto zamienił, hr. Dienheim Szczawiński-Brochocki, późniejszy małżonek słynnej śpiewaczki, znanej pod pseudonimem Bolskiej, a wraz z nią inicjator powstać mającego do dziś dnia w Warszawie pomnika, poświęconego pamięci Fryderyka Chopina. Z włoskich gości wspomnieć należy o Angelo de Gubernatis, historyku, statystycie, wielkim przyjacielu Polaków, a Słowian w ogóle, od czasu zwłaszcza, gdy Rosyankę wybrał jako dozgonną towarzyszkę życia. Wieczory te miały swój odrębny, niewypowiedziany urok. Bywało — uproszona przez gości pani domu zasiadła do fortepianu i czarem swej gry słuchaczom jakieś pozaziemskie odsłaniała światy. Po takim to występie, jednego wieczora przejęty i do głębi duszy wzruszony Lenartowicz, w albumie Maryi skreślił wiersz, ostatni zapewne, jaki natchnęła:

Mówią, że piękna Italii muzyka;
 Cóż kiedy w ucho, a nie w serce wnika...
 Miłosne trele, albo nuta senna...
 Nasza muzyka — o, jakże odmienna!...
 W niej to nie krzyki rozpaczy miłosnej —
 Ale śpiewanie całej słyhać wiosny;
 Cała przyroda śpiewa nastrojona,
 Ptactwo niebieskie i łąka zielona;
 I człowiek także w niem swój udział miewa.
 Ale najgłośniej polski anioł śpiewa —
 Całego kraju potrącając dzieje —
 On czerstwość męską w ludzkich sercach leje.

I tak muzyka polska śpiewa majem,
 Niebem i ptakiem, i szerokim krajem;
 I mogiłami i śpiącymi w grobach,
 I rzeniem koni stojących przy żłobach,
 I piersią młodą, co wsparta o lancę,
 O Polsce marzy i o swej kochance.

Taką muzyką, takim czuciem Bożem,
 Jedna mnie pani obdarzasz za morzem;
 I kiedy słucham tych czarownych tonów,
 Zda się, że widzę chabry mych zagonów,

I że mi szumi ocean pszenicy,
 I świeci słońce polskiej okolicy;
 Albo się lasy pod wiekami wałą,
 Albo sieroty po zabranych żalą;
 To polskich dzieci słyszę pieśń żalobną,
 Tę ową wielką, anielską, zagrobną...
 Że kiedy nagle zmilknie fortepiano,
 Zda mi się, że mnie drugi raz wygnano
 Z ojczyzny mojej; i żal serce bierze,
 Że oko żegna wody, góry, wieże...
 Jak temu mało dwadzieścia lat tylko,
 A zawsze widne, jakby to przed chwilką.

Za tę czarowną chwilę przypomnienia,
 Za widok w duszy ojczystego cienia,
 Niech dobry anioł strzeże od boleści
 I błogie niesie co poranku wieści,
 I niech czuć daje w tej dalekiej stronie
 Pieśń polskich dziewic, polskich lasów wonie
 I niechaj szerzy dobrą myśl i zdrowie...
 Bóg zapłać!... więcej polski dziad nie powie.

Niestety, nie nadszedł dzień dobrej myśli i zdrowia, ale dzień żaloby, dzień zjawu tej zmyry, z którą Marya tak długo, tak uporeczywie walczyła. Władysław Orpiszewski zamknął powieki dnia 25 kwietnia 1881 r. prawie że nagle, bez lęku i cierpień. Był to umysł niepospolity. Niewątpliwie przy pomyślniejszych warunkach bytu narodowego godnym byłby się okazać zając dla siebie zaszczytne, dla kraju pożyteczne stanowisko. Posiadał umysł lotny, spostrzegawczy, przenikliwy; wybitny dar intuicji, który przy żywym poczuciu piękna, równał się niemal samorodnemu talentowi. W poezji jego ideałem i wzorem pozostał zawsze Słowacki. Naśladował go, a jak szczęśliwie nieraz formą i treścią, świadczą urywki, z jego duchowej wybrane spuścizny.

W polityce hołdował przedewszystkiem sile i powodzeniu. Na tych dwóch czynnikach opierał wszelką wielkość i mądrość państwową. Z tych przyczyn, po upadku drugiego Cesarstwa i pogromie Francji, po zwycięstwach oręża pru-

skiego, ustalających przodownictwo w świecie najbezwzględniejszego militarysty, pragnął oryentacye naszej polityki przenieść z brzegów Sekwany nad Spreę. Bismarck stał się jego bożyszczem, a hasło „siła przed prawem“ formułą, do której z konieczności wypadło nam nagiąć wszelkie dążności i czyny nasze. W broszurze *Le prince de Bismarck et la Pologne* wykazywał niezbędną potrzebę pozbycia się raz na zawsze naszych utopij o czynnej pomocy Francyi i zwrócenia się szczeremu ku naszemu najbliższemu zachodniemu zaborcy. Cała działalność Żelaznego księcia, jego trzy tak szczęśliwie przeprowadzone wojny, walka z Kościołem, pod postacią Kulturkampfu na wewnątrz, nawet i zapoczątkowanie osławionych rugów pruskich, nie miały mieć innego celu, jak doprowadzić Polaków do zrozumienia własnych najżywotniejszych interesów, mianowicie, że jedynie pod egidą tautońskiego cesarstwa odrodzić się mogą. Polska jako *bufferstaat*, wchodząca w konstellacye systemu niemieckiego, stanie się tamą i przegrodą przeciw pochłonności panrosyjskiej. Dziełko to, powierzone mi kiedyś, dotąd nie znalazło w Paryżu wydawcy. I sądzę, że dobrze się stało dla pamięci bądź co bądź gorliwego patrioty.

Zwłoki Władysława Orpiszewskiego sprowadzone zostały do rodzinnej ziemi. Sam za życia ułożył dla siebie napis grobowy, który też wdowa ku uwiecznieniu drogiej pamięci na tryptyku w kościele miejscowym wmurowanym wyryć kazała:

Przeszło życie pospolite,
Choć górne były marzenia,
Niechże to serce rozbite
Ma przynajmniej grób z kamienia.

Ostatnich swych lat dożyła Marya w ulubionej przez nią Klóbce. Tam złożyła do snu wiecznego zwłoki małżonka i syna, lecz tu także rozdmuchnęła nowy płomień, stworzyła nowe ognisko, łącząc ze sobą na drogę życia córkę swej siostry, a swą siostrzenicę, z synowcem męża swego¹⁾. Osiadła

¹⁾ Stanisław Orpiszewski, właściciel Klóbki, syn Łucyana i Maryi z Wiesiolowskich, późniejszy długoletni radca

pod ich dachem. Pozbawione podpory moce kochania owinęła o drogie istnienia. Patrzała na to szczęście, które było jej dziełem, na wzrastające wnuki, żywym wieńcem kwiatów świeżych okalających jej sędziwość, na te tak wdzięczne w swej malowniczości krajobrazy rodzinne. Bo też Klóbkę słusznicy perłą Kujaw nazwać można. Te pagórki gajami pokryte, zieleń w modrem przeźroczu jezior odbijające, ta wśród przejrzystej, drgającej światłem franki drzew, srebrzystą wstęgą wijąca się rzeczka, ten w swem wyniosłem obramowaniu kamiennem jeszcze piastowskich czasów sięgający pamięcią kościółek, z przydaną mu dziś smukłą wieżycą, mierzący się oko w oko tuż na przeciw w zadumie swych ciemnych sosen z wznoszącym się odwiecznym pogąńskim kurhanem; te białe chaty, piętrzące się po wspinającej się drodze do cmentarza, ostatniej dla wszystkich siedziby; ten na górze wiatrak, obrotem szarych swych skrzydeł każdego witający; ten młyn wodny, w dolinie szumem koła po czujnych, pracowitych nocach, powrót różowych świtów zwiastujący; to wszystko się składa na tak ujmujący w swej sielskości i harmonii obraz, że jego powabu żaden, choćby najwspanialszy widok, już zatrzeć nie zdoła. Ku temu cmentarzowi, ku zwieszającej się na jego stoku kapliczce, ze swym wśród kamieni szemrzącym cudownym źródłem, co rok, w dzień odpustny św. Prokopa dążą tłumy pobożnych pielgrzymów. Wtenczas przed oczyma roztacza się scenerya, godna pędzla jakiegoś przyszłego polskiego Boecklina.

W błękitnej mgłę, złotemi smugami słońca rozświetlonej, szerokie widnieje płaskowzgórze, na niem rozsiane i lasy dalekie, i kępy zielone, i wioski gromady, i świątyń dzwonnice, i dachy dworów w południowych promieniach, niby olbrzymie, zapalające się soczewki. Już kłosa naokoło dojrzały, lśnią stawów zwierciadła w czarnych ramach świeżo wykopanych torfowisk, łąki ścielą się w dal barwnym wzorzystym kobiercem. Od ziół wodnych, od miododajnego kwie-

dyrekcji szczegółowej Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, zmarły w r. 1905 w Warszawie, zaślubił w Poznaniu dnia 30 października 1881 r. Maryę Kościelską, córkę Augusta i Józefy z Wodzińskich.

cia lip, od zbóż chlebem pachnących, od młodych sosnowych gajów bije żywiczna, mocna a świeża, rozsadzająca piersi woń. I te wszystkie blaski, te uśmiechy nieba i ziemi w zmęczonych oczach Maryi nieciły jeszcze promienie nigdy w sercu nie wygasłych wspomnień, nigdy nie zamierających nadziei. Żyła, czując się szczęśliwą z życia, które jej pozwalało w późnej, wieczornej dobie, przybranej jeszcze poświęcać się rodzinie. W duszy, w umyśle wnuków iskierkę pierwszych doznanych wrażeń rozdmuchiwała z miłością, aby z niej rozżarzył się czysty, szlachetny płomień świadomości. Sama brała udział w ich kształceniu. W uroczystych dniach obchodu świąt rodzinnych układała rymowane przypowieści i obrazy, najczęściej na tle polskich dziejów osnute, w których działywa występowała w roli ulubionych bohaterów i bohatererek narodowych. Dla niej też, dla tej działywy miłej, choć ociążała i drżąca, siadywała przed pleyelowskim fortepianem. A wtenczas z pod jej palców cud jakoby powstawał. Czarem uczucia, mocą talentu wywoływane, zjawiały się białe, jasne wizye przeszłości. Rzekłbys kryształowe wody przeczystego źródła srebrzystemi falami płynęły: no-kturny, polonezy, preludya — a nikt tym śpiewom nie potrafił nadać tyle wyrazu życia, bo nikt w nie także nie wlewał tyle ze swej własnej duszy, ze swych uczuć najserdeczniejszych, ze swych wspomnień, ze swego życia. To też gdy umilkły struny, długi czas pozostawała blada, nieruchoma, bo każdy taki występ zabierał jej resztkę z tłących się jeszcze w piersiach płomieni. Więc w wierszach dla tych ukochanych wnuków, prawie że do ostatniego dnia kreślonych, skarżyła się na smutną dolę wieku.

Najsmutniejszym objawem starości

Czyż nie przeżyć siebie?

Gdy po kolei czujesz, że zdolności

Opuszczają ciebie.

Muzyka była osłodą,

Kiedy jej czarowna siła

Mą duszę ognistą, młodą,

Z sercem słuchacza łączyła.

Dziś już tylko grają nerwy ;
 Więc mię rozdrażnia i trudzi.
 Każdy akkord gra bez przerwy,
 Wspomnieniem tęsknotę budzi.
 Ileż to chwil uroczych
 Przepędziłam przed sztalugą
 I w farbach kreśląc przezroczych
 Jedną figurę za drugą.
 Sądziłam, że wnuków twarze,
 Wnukom ich dzieci przekażę ;
 Wiek zawistny wzrok zamaćcił,
 Pędzel mi z ręki wytraćcił.
 Jedna tylko pozostała
 Władza uczucia nietknięta.
 I dawniejbym nie kochała
 Silniej, niż dziś me wnuczęta.

A na miesiąc przed śmiercią, w przeczuciu bliskiego
 rozstania, drżącą już ręką w albumie najmłodszej wnuczki
 kreśli te żalodne słowa :

 Żal mi odchodzić !
 Wiek późny bliski koniec zwiastuje
 Lat ciężar... brak siły... czuję.
 Choć z Twoją wolą zgodzić się trzeba,
 Żal mi odchodzić !
 Żal mi odchodzić !
 Pragnęłam śmierci, gdy synka strata
 Żalem mi długie napelniła lata.
 Dziś wnuki życie zaczęły słodzić,
 Żal mi odchodzić !
 Żal mi odchodzić !
 Chciałabym widzieć dorosłe wnuki
 Bogate w cnoty, w skarby nauki.
 Jednak z Twą wolą muszę się zgodzić,
 Choć żal odchodzić !

Zamknęła powieki dnia 7 grudnia 1896 r. w siedem-
 dziesiątym siódmym roku życia. Spoczywa na cmentarzu
 w Kłóbce, obok męża i syna. Śpi w zieleni drzew, w uko-

jeniu wielkiej ciszy pól, w ukołysaniu dalekiem i gwary ludzkiej i dzwonów bicia, lasów i wód poszumu. *Invideo quia quiescunt* — powiedział Słowacki o śpiących na krzemienieckim cmentarzu. Chciałbym i nad tym grobem tę skargę powtórzyć.

Na tryptyku w miejscowym kościele, na środkowej tablicy, między napisami, o których wyżej wspomniałem, takie sobie za życia ułożyła epitaflum:

Tuląc żal w sercu do dni ostatka,
Spoczęła wreszcie żona i matka!

Biedne, niudolne rymy, jak ta jej cała poetycka spuścizna — a prostotą i pokorą jednak rozbrajające. Pamięć o Maryi Wodzińskiej, opromieniona miłością dwóch geniuszów, żyć będzie zawsze — ale jej koroną, jej najszczytniejszą zasługą pozostanie to wyrzeczenie się samej siebie w miłości dla drugich, ta nigdy nie słabnąca gotowość w ofierze i poświęceniu, ta niestrudżoność w codziennem wypełnianiu szarych zadań pospolitego obowiązku. Tak jest, żoną i matką była do dni ostatka!

I jeszcze, na zakończenie, ostatnie, w godzinę śmierci, wypowiedziane jej słowa, dziwne a głębokie, wprawiające nas w zadumę, bo nagle nasuwające wątpliwości: „Skończona polityka“. Cóżby te wyrazy znaczyć miały? Przypuścićże można, aby w tem sercu słodkiem i poddanem kryła się tajemnica nigdy nie zdradzonego dramatu, nigdy nie utulonego żalu za zawiedzionemi nadziejami, za nigdy nie doznaniem szczęściem, żalu przed ludźmi i światem, jak w maskę, pozornym tylko obleczonemu uśmiechem? Albo czy w zamierających źrenicach, w ostatniem drganiu fal życiowych ujrzała marność i nicość doczesnego bytu? Z tyłu wierzeń i rojeń, z tyłu ukochań i marzeń, z tyłu snów złotych i z tyłu bólów, z tyłu cierpień i z tyłu promieni, nic, jak tylko garść popiołów: „Skończona polityka“!

A. W.

Antoni Wodziski

Handwritten text, possibly a date or reference number, including the number 05.

Handwritten text, possibly a date or reference number, including the number 04.

F

6339